Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — Niedziela, dnia 28 listopada 1937 r. — Nr. 48

Wiersz pisany w słotny dzień



I opadł wreszcie z smutkiem ogromnym
Ostatni z drzewa liść
I przyszło cicho to dzisiaj do mnie,
Co dawno miało przyjść.

Za oknem wicher taki okrutny
Do ziemi drzewa gnie,
A w głębi duszy tak znowu smutnie
I znów tak bardzo źle.

Gdzieś tam na drodze, we łzach deszczowych,
Wśród tych bezlistnych brzóz,
Ktoś z trudem idzie i schyla głowę,
Jak gdyby ciężar niósł.

Może mu także dziś jest tak ciężko,
Jako i mnie znów jest,
Może tą drogą też idzie z męką
I stracił na niej kres?...

Maria Zemmlerówna.

MARIA REUTT

14)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

— Niech się pani nie obawia małżeństwa ze mną — nie będzie ono takie straszne...

— Nie boję się, ale nie rozumiem — po co właściwie pan się ze mną żeni.

Uśmiechnął się z osobliwym wyrazem tajemniczości.

— Dowie się pani niedługo. Muszę już iść, bo brat czeka, a pani pora odpocząć.

I znów pocałował ją w rękę i wyszedł.

— Boże daj, żeby to nie był tylko sen — szeptała, przyciskając ręce do bijącego serca.

— — — — — —

Pani Ciemierzewska wróciła nazajutrz zmęczona, pobladła, ale spokojna.

Ludka nad podziw dobrze znosiła cios, który ją spotkał. Mówiła o tamtym z pogardą, żałowała każdego słowa i myśli życzliwej o nim. — Przyznała się, że liczyła na niego bardzo, że imponował jej elegancją, bogactwem i tytułem i że te tylko właściwie walory czyniły go pożądanym dla niej.

Zawód, jaki ją spotkał i rozczarowanie przyjęła jako karę za wyrachowanie i traktowanie małżeństwa pod kątem widzenia „interesu" towarzyskiego.

— Niemądra to, ale ostatecznie niezła dziewczyna — zadecydowała pani Ciemierzewska, kończąc swoją przed mężem relację o wrażeniach z Warszawy.

Mąż długo chrząkał i pokasływał, nim wyjawił żonie zamiary Andrzeja.

Pani Ciemierzewska leżała już w łóżku, wtulona w puch poduszki, myśląc z przyjemnością o czekającym ją śnie, gdy pan Ciemierzewski, chrząknąwszy raz jeszcze, pochylony nad butami, które ściągnął z nóg, wyjąkał nareszcie:

— Andrzej żeni się z panną Danką.

— Co?!... — krzyknęła niemal, tak wysokim dyszkantem wyrwało jej się z gardła to zapytanie i usiadła na łóżku.

— No — żeni się z panną Danką.

— Kiedy? Jak? Dlaczego? Jakim sposobem? — dopytywała się podniecona i zdumiona.

— Niedługo — mówił mi o tym wczoraj wieczorem. Zaręczyli się na wieczorku.

Zmartwiona srodze wiadomością pani Ciemierzewska, zapomniała o śnie i zmęczeniu. Tak liczyła na to, że teraz może uda jej się ożenić Andrzeja z Ludką i wynagrodzić „biednej dziewczynie" zawód z Bagrowcewem. A tu masz! Plan rozwiał się, nim zdążył dojrzeć...

— Przecież Andrzej właściwie nigdy nie okazywał zajęcia się Danką — zauważyła strapiona.

— A mimo to zajął się nią widać — wtrącił mąż, wsuwając się pod kołdrę.

— Nic o niej nie wiemy — ani kto ona, ani jaka jej przeszłość — zrzędziła, marszcząc chmurnie czoło.

— Ale możeby można było jeszcze wyperswadować Andrzejowi ten projekt? Zdawało mi się, że kiedyś Ludka podobała mu się...

Chciał powiedzieć: „To czemu nie starała się go utrzymać, kiedy był czas" — wstrzymał się jednak przezornie z tą uwagą i rzekł tylko:

— I mnie się również tak zdawało — okazało się jednak, że obojgu nam się to tylko zdawało...

— Zmartwienia zawsze chodzą w parze, albo w trójkę — wzdychała pani Ciemierzewska, kładąc się z powrotem w pościel.

Nie mogła usnąć, gdyż nie mieściło jej się w głowie, by Danka — nie Ludka, została panią Andrzejową... Była zła i na Dankę, że ją wybrał Andrzej, i na Ludkę, że nie wykorzystała „okazji" i na Bagrowcewa-Pietrowa, że on swoim zjawieniem się tak wszystko pokrzyżował.

Czuła żal i do Andrzeja, że Dankę wybrał i nie czekał na Ludkę.

— A ten Andrzej — niewiadomo czemu i do czego się spieszył. Danka przecież także nie uciekłaby mu, miałby czas wybierać pomiędzy dwiema...

TAJEMNICA TRWA...

— Nie przypuszczałam, przyjmując panią na nauczycielkę moich dziewczynek, że sprowadzam sobie bratową — odezwała się nazajutrz przy śniadaniu do Danki pani Ciemierzewska, nie mogąc ukryć odcienia lekkiego żalu i pewnej ironii w głosie.

Ta ironia i ton wyraźnie oschły były tak niespodziewane i tak nie licowały ze zwykłym dobrodusznym obejściem się pani domu, że Danka zbladła z przykrości.

— Ja sama do wczoraj nie marzyłam nawet, że zostanę żoną pana Andrzeja — odpowiedziała łagodnie, głosem zmatowiałym powstrzymywanymi łzami, tak, iż rozbroiła tym rozżaloną panią domu i złagodziła jej porywczość.

— Ale przyznam się, że wolę już panią, niż kogo innego, gdy nie udało mi się wyswatać za niego mojej siostry — dodała szczerze.

— Pan Andrzej gustował przecież w pannie Ludce — odezwała się Danka ze szczerością.

— Tak się zdarza, panno Danko, najczęściej w życiu, że kwiat szczęścia świeżych wspomnień mamy pod nogami, a depczemy go w pogoni za świętojańskim robaczkiem, który w ułudzie bierzemy za kwiat paproci — symbol szczęścia.

Danka nie odpowiedziała na te wywody — bo co miała powiedzieć ona, która skorzystała mimo woli z tej pomyłki.

— — — — — — — —

Andrzej zjawił się w dwa dni potem, jak zawsze spokojny i jak zawsze zrównoważony.

— Jutro przyjadę po panią. Pojedziemy do kościoła. Po spowiedzi weźmiemy ślub.

— Tak prędko? — zdziwiła się i jakby przestraszyła.

— Rozprawa zacznie się za tydzień. Chciałbym, żeby pani wystąpiła w sądzie już jako moja żona.

— A nie będzie pan tego żałował? pytała trwożnie.

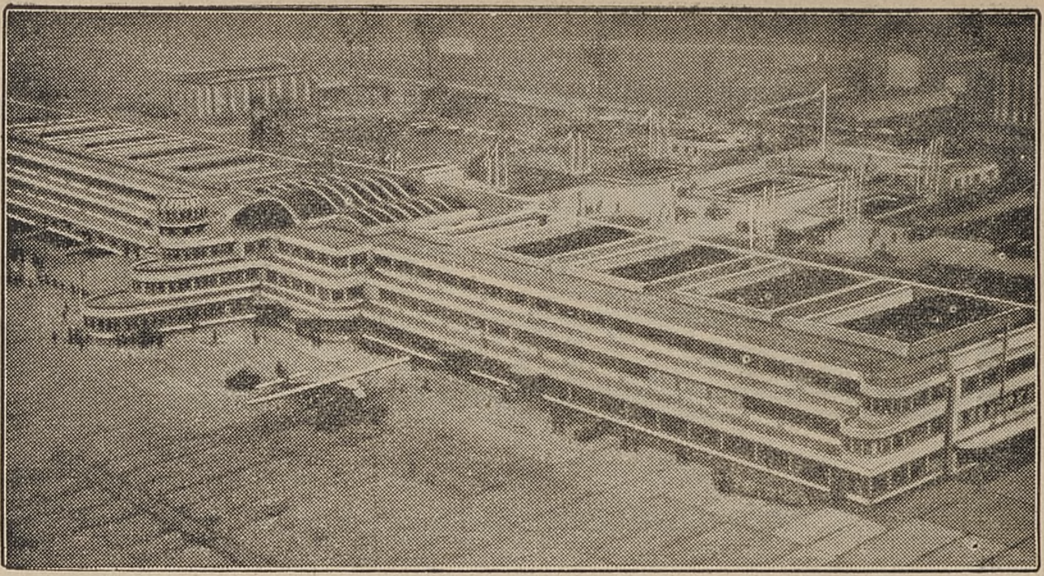
Spojrzał jej w oczy poważnie i głęboko.

— O ile pani nie pożałuje, to i ja nie! A będę się starał, aby pani nie żałowała...

— — — — — —

Wczesnym rankiem przyjechał po nią samochodem. W godzinę potem sankami pojechali państwo Ciemierzewscy z dziewczynkami.

W kościele zastali już panią Bogdzińską z córką. Danka była poprzedniego dnia, po odjeździe Andrzeja, w Ustroniu, prosząc panią



W Paryżu odbędzie się uroczyste poświęcenie i otwarcie nowego ogromnego lotniska. Otwarcia dokona prezydent miasta Lebrun.

Bogdzińską o błogosławieństwo i życzenia.

Zacna dama rozpłakała się ze wzruszenia.

— Dobrego męża będzie pani miała, bo Ciemierzewscy to zacny i prawy ród. Nie skrzywdzi pani, ani oszuka.

Stojąc z nim przy ołtarzu, przypomniała sobie te słowa:

„Nie oszuka, nie skrzywdzi"...

...On mnie nie, ale ja jego oszukuję — bo nie wie, nie domyśla się nawet prawdopodobnie, że się żeni z byłą kochanką komisarza Pietrowa...

Serce jej tak się ścisnęło bólem zawsze świeżym i piekącym, że nie była w stanie wymówić „tak", którego wymagał od niej obrządek zaślubin.

Ksiądz spojrzał na nią spokojnie, lecz Andrzej ścisnął ją za rękę delikatnie, a zarazem nakazująco.

— Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę? — powtórzył pytanie ksiądz.

— Tak — wymówiła wreszcie stanowczo i głośno.

* * *

Obiad z tradycyjnym winem i tortem odbył się w Ciemierzewie; wzięła w nim udział i pani Bogdzińska. Gdy pani Ciemierzewska zapraszała ją, odruchowo odmówiła. Uległa dopiero prośbom panny młodej.

— Niech mi pani nie odmawia — szeptała jej — będzie mi się zdawało, że mam kogoś ze swoich, nie będę się czuła tak osieroconą...

Bytność w Ciemierzewie sprawiła jej mniejszą przykrość, niż przypuszczała.

Oboje małżeństwo byli bardzo gościnni i życzliwi i widać było, że chcą ją sobie ująć.

* * *

Obidówka wystąpiła godnie na przyjęcie młodej pani, gdy nad wieczorem przybyli nowożeńcy. Na ganku, przybranym lampionami, czekała służba z chlebem i solą. Cały dom był oświetlony, opalony i pachniał jałowcem.

W sypialnym pokoju na nocnym stoliku stała cieplarniana gałązka białego bzu.

Andrzej odprowadził ją do sypialni, a sam cofnął się.

Jasny, pomalowany na błękitno pokój, umeblowany był na biało. Zbyt jasna ich białość wskazywała, że wyszły z pracowni niedawno. W pokoju było tylko jedno szerokie, francuskie łóżko.

Na zaniepokojone i jakby zakłopotane spojrzenie Danki Andrzej odpowiedział obojętną, zrobioną mimochodem uwagę:

— Będę sypiał w swoim pokoju za gabinetem...

Sytuacja była istotnie niezwykła: nowożeniec, który cofa się od drzwi sypialni małżeńskiej, uprzedzając życzenie panny młodej, poślubionej wszak tylko dla celów formalno-prawnych...

Danka poczerwieniała. Nadzwyczajna zdolność Andrzeja odczytywania jej myśli krępowała ją i mieszała.

— Nie wyobrażasz sobie nawet, jak jesteś śliczna w tej chwili — wyrwało mu się z ust.

Rumieniec znikł z twarzy Danki, w oczach ukazał się wyraz niechęci i przykrości.

...Odezwał się w nim mężczyzna..... — zasyczało jej zjadliwie w duszy.

Pominęła uwagę Andrzeja milczeniem, jakby jej nie słyszała.

On odczuł jej nieufność i wrogą oporność. Pobladł i cofnął się z pokoju.

* * *

W roli pani domu Danka czuła się na razie nieswojo. Wiedziała, że tylko dzięki przypadkowi znalazła się tutaj, to też siadła do śniadania jak gość, czekając, aż ją zaproszą do jedzenia.

Szumiał obok niej samowar, parowała maszynka z kawą, na stole nęciły smak różne cuda sztuki piekarskiej domowego wyrobu, nadto serki, szynka, masło.

Andrzej siedział już przy stole i przeglądał gazetę. Na jej wejście wstał i pocałował ją w rękę.

— Nie jadłem jeszcze, czekając na gospodynię.

Podsunął ku niej swoją filiżankę.

— Proszę kawy...

Nalała drżącą ręką i podsunęła mu cukiernicę.

— Nałóż mi sama — prosił.

Spełniła tę czynność bez uśmiechu, zmieszana, nieswoja. Gdy wpuściła cukier do kawy, ujął jej rękę i podniósł do ust.

Poczerwieniała pod tą pieszczotą.

* * *

Po śniadaniu przeszedł do gabinetu, zostawiając ją samą. Chciał, by się rozgościła i ośmieliła.

Gdy w parę godzin potem wyszedł z gabinetu na jej poszukiwanie, zastał Dankę ścierającą pieczołowicie kurz z drobnostek poustawianych w salonie w oszklonej szafce.

...Już dobrze — pomyślał sobie.

PAŃSTWO MŁODZI W WARSZAWIE

Andrzej nie narzucał jej się ustawicznie ze swoim towarzystwem, nie dokuczał, nie starał jej się „zdobywać".

Traktował ją jak przyjaciela i domownika i to ją ujmowało.

Pewnego popołudnia oznajmił jej:

— Jedziemy do Ciemierzewa, wstąpimy po drodze do Ustronia.

Podziękowała mu radosnym błyskiem oczu.

Gdy zajechała do Ustronia, pani Bogdzińska zajrzała w głąb jej orzechowych źrenic.

— Szczęśliwa pani?

— Bardzo — szepnęła cichutko.

W Ciemierzewie dziewczynki o mało nie udusiły jej w uściskach. Były stęsknione za nią i znudzone, bo nowa nauczycielka jeszcze nie przyjechała.

Józia, jak zawsze, zwierzała się jej:

— Mamusia miała list od ciotki Ludki. Ciocia Ludka bardzo wujence zazdrości wujaszka. Pisała, że widzi teraz, ile straciła przez swoją głupotę...

— Oj Józiu, Józiu, kiedy się oduczysz tego plotkarstwa... — gderała na nią żartobliwie Danka. — Zobaczysz, że kiedy za karę język twój wyciągnie ci się aż do brody.

Dziewczynka przestraszyła się tą przepowiednią i palcem dotknęła języka, czy przypadkiem już nie rośnie.

Wyszła na spotkanie pani Ciemierzewska i ucałowała ją życzliwie.

— Dobrze ci? — i tu padło pytanie gdy zostały same.

— Bardzo — odpowiedziała.

* * *

— Danka! Otrzymałem telefoniczne wezwanie, jadę do Warszawy. Możebyś pojechała ze mną? — proponował przez drzwi.

— Jadę!

Zerwała się z łóżka, zapaliła świecę i ubierała się gorączkowo. W jadalni Andrzej nalał jej kawy i naglił do pospiechu.

Przed gankiem podrywały do jazdy niecierpliwie konie.



Amerykańska girls oddaje hawajski taniec, ostatnio bardzo modny na drugiej półkuli.

Z dworca w Warszawie Andrzej odwiózł ją do pani Wandy.

— Wpadnę po ciebie o czwartej. Podał jej kilka banknotów.

— Może będziesz chciała sobie co kupić. Zamów jaką ładną suknię wieczorową i wizytową, będą ci potrzebne.

Pocałował ją w rękę, kiwnął głową i samochód ruszył.

Stała chwilę na trotuarze, mnąc w ręku pieniądze. Paliły ją one jak ukradzione.

...Ożenił się z nią z litości, nie upominał się o swoje prawa i przywileje męża... a teraz te pieniądze...

Przechodnie oglądali się za nią. Oprzytomniała i weszła na schody.

Pani Wanda wiedziała już, że Danka wyszła za mąż, więc oglądała ją dokoła rozjaśnionymi oczami.

— No... no... zawinęła się pani prędko. Ucieszyliśmy się wszyscy. Pan Ciemierzewski, to nie byle kto! Wyższy urzędnik spraw zagranicznych, ceniony i zdolny dyplomata. Musi się pani teraz koniecznie przerobić na wielką damę.

Danka przypomniała sobie polecenie.

— A istotnie mam sobie zamówić suknię wieczorową i wizytową — czy mogłaby mi pani pomóc wybrać?

— Idziemy! Stary Herse znajdzie coś dla nas gustownego, wszyscy ci inni modniarze dobrzy są dla aktorek i półświatka, a nie dla żony dyplomaty.

Szły ulicą Marszałkowską obydwie ładne i eleganckie, mijając zręcznie tłum ruchliwy a nieuważny. Na rogu Świętokrzyskiej otarła się o nie Ludka. — Zetknęły się wzrokiem z Danką.

Ludka poczerwieniała i oczy jej pociemniały, nabrały wyrazu niechęci. — Kiwnęły sobie głowami niby obce i mało znane.

...Zazdrości mi — pomyślała Danka — ale sama sobie winna.

...Udaje wielką panią — ironizowała Ludka — że udało jej się złapać głupiego Andrzeja.

— Co to za pani? — dopytywała się ciekawie pani Wanda.

— Siostra pani Ciemierzewskiej — objaśniła ją.

— Ładna panna, ale z miny jej widać, że niezbyt życzliwie usposobiona dla pani.

— Od samego początku naszej znajomości nie lubiła mnie. Biedna ona. Bałamucił ją sąsiad państwa Ciemierzewskich, moskal, który udawał hrabiego. Przystojny był i panna zakochała się w nim, gdy tym czasem okazało się, że to nie żaden hrabia, ale bolszewicki komunista, który podszył się pod nazwisko hrabiego Bagrowcewa, zamordowawszy go uprzednio i zabrawszy mu dokumenty i dowody osobiste.

— To wpadła biedactwo — pożałowała ją pani Wanda.

* * *

O czwartej godzinie zjawił się Andzej u państwa Bielińskich, jak zapowiedział. Był w dobrym humorze i zrobił bardzo dobre wrażenie na obojgu.

Zaproponował wspólne pójście do cukierni Loursa. Tam dobry humor Andrzeja zaraził resztę towarzystwa.

— Niech pani pilnuje męża, bo ta blondynka spod lustra coś zanadto zerka na niego — żartował Andrzej do pani Wandy.

Odwrócili oczy w tym kierunku. Rzeczywiście pod lustrem siedziała tęga blondyna, zajęta podmalowywaniem ust.

— Ej — odparła śmiejąc się — mam wrażenie, że jeżeli ona zerkała, to prędzej na pana i kto wie, czy się nie znacie?

— Fe, posądza mnie pani o tak zły gust. Blondynki lubię, ale tylko wysmukłe. Zresztą swego dobrego smaku dowiodłem — wskazał oczyma na żonę.

— Nielada twierdzę pan zdobył — żartował dobrodusznie pan Bieliński — taka z niej była zażarta nieprzyjaciółka mężczyzn...

Andrzej wesoło spojrzał na Dankę. — Pod tym wzrokiem zaróżowiła się zmieszana, bliska łez. Zauważył to i błyskawicznie zmienił temat.

— Panie, co za cud urody — wskazał na wymalowaną podstarzałą piękność, która z malutkim pieskiem na kolanach z wdziękiem mieszała kawę.

— A wie pan, że przypadkowo znam jej historię. Była to piękność półświatka. Rujnowali się na nią panicze, a jeden z nielicznych u nas ordynatów pojedynkował się nawet o nią.

Obok opróżnił się stolik. Zajęło go zaraz nowe towarzystwo. Trzech nieokreślonego stanowiska i wieku panów i jedna pani. Ta miała więcej określony typ. Brunetka, duża, rosła, jakby powiedział Rejmont „zasobna w sobie“, o płaskiej szerokiej twarzy i wąskich wargach, ubrana była z przesadną elegancją.

W miarę jako gości u Loursa przybywało, towarzystwo zaczęło się robić coraz mniej ciekawe. Zarówno Danka z Andrzejem, jak państwo Bielińscy, mieli już zupełnie dość tej zabawy, czemprędzej więc zapłacili i wyszli. Andrzejostwo odwieźli państwo Bielińskich do domu, gdzie spędziwszy jeszcze czas jakiś na pogawędce w atmosferze domowej, znacznie milszej niż kawiarniana, ani się nie spostrzegli, że czas już na nich na pociąg.

SERCA SIĘ ZBLIŻAJĄ...

Gdy Andrzej z Danką znaleźli się sami w pustym przedziale pierwszej klasy pociągu zdążającego do Częstochowy, Andrzej niespodziewanie położył na kolanach Danki malutki pakiecik. Rozwinęła go — było to etui, a w nim pierścionek z dużym brylantem.

— Nie dałem ci pierścionka zaręczynowego przed ślubem — jakby usprawiedliwiał się Andrzej.

Danka bez słowa włożyła pierścień na palec. Zamigotał w świetle lampy.

— Zbyt piękny — szepnęła, patrząc nań w zamyśleniu.

Przykrył dłonią jej rękę, leżącą na kolanie.

— Nie ma na świecie klejnotu, który byłby za piękny dla ciebie — powiedział cicho.

Wysunęła rękę spod tej pieszczoty cała drżąca. On cofnął dłoń i wyjął z kieszeni gazetę, kupioną na dworcu.

— — — — — — — —

We dworze w Ciemierzewie Andrzej i Danka siedzieli oboje u niego w gabinecie.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

WOJCIECH HOLM

58)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Konduktor zmiękł i obiecał jej, że ją bez biletu zabierze i że się za nią wstawi do naczelnika stacji.

Dotrzymał też słowa i zabrał ją bezpłatnie do Bridgeway. Stamtąd wynajęła konie do Wilsonstown, a że musiała woźnicy zapłacić z góry, nie pozostało jej nawet na filiżankę herbaty.

W Wilsonstown zajechał woźnica do gospody, aby konie popaść i dać im wypocząć. Zuzia zaś poprosiwszy o szklankę wody i zapytawszy, którędy prowadzi najbliższa droga do farmy „Szczęście i Błogosławieństwo Boże", puściła się niezwłocznie w drogę. Wlokąc się z trudem przez puste obszary, myślała nad swą lekkomyślną ucieczką od męża i westchnęła ciężko.

Sama winna była swemu nieszczęściu! Że skruchą i żalem oczekiwała zasłużonej kary.

Dziwnym było, że mniej się bała gniewu swego męża, niż szyderstwa i pogardy pani Brinkmann.

Gdyby była przeczuła, że Brinkmannowej tam już nie ma i że Mayera samego we farmie zastanie, byłby jej ogromny ciężar spadł z serca.

Po drodze zatrzymywała się często dla wypoczynku, siadając bądź na pniu drzewnym, bądź na kamieniu.

To też nie postępowała szybko. Zaczęła się już ciemność, a jeszcze nie była przy farmie Trorenza. Zaczęła się obawiać, że zbłądziła. Wiedziała dobrze, jak pustą jest ta okolica i że oprócz tych trzech zagród na milę na około nie było żadnego ludzkiego mieszkania. Wiedziała też, że gdy ją noc wśród bagien zaskoczy, będzie zgubiona!

Groziła jej okropna, zabójcza żółta febra i głód. Nie było tu bowiem żadnej jadalnej jagody, żadnego owocu, ani nawet korzonka, któryby do ust wziąć było można.

Musiała się bardzo oddalić od brzegów Missisipi, gdyż nie słyszała nawet szmeru fal bijących o brzegi. Pragnienie dokuczało jej okropnie, mimo to nie odważała się zaspokoić go u źródeł, które napotykała po drodze, bo wiedziała, jak ta bagienna woda jest szkodliwą.

Zaczęła się gorąco modlić, a duże, czarne jej oczy wznosiły się błagalnie do nieba.

— Święta Matko! Módl się za nami grzesznymi! — szeptała załamując ręce — chcę już zginąć i tym odpokutować winę moją, ale nie mogę umrzeć bez przebaczenia mego męża!

Zerwała się znów i powlokła się dalej, goniąc ostatkami sił.

Cienie olbrzymich drzew przybierały kształty upiorów i straszyły biedną samotną grzesznicę. Żaby odzywały się w bagniskach, nietoperze uderzały w locie o jej głowę, suche gałęzie padały z trzaskiem o ziemię.

Siły opuszczały Zuzię coraz bardziej, kolana zaczęły się pod nią uginać.

Wtem zobaczyła nagle przedzierające się przez gałęzie promienie światła.



Najpiękniejsza i najbardziej przez swój naród umiłowana królowa Maria rumuńska, choruje.

Serce zabiło jej z radości. Światło to napełniło ją nadzieją i dodało świeżych sił. Postępowała tak za tym światłem, jak mędrcy Wschodu szli za gwiazdą, wiodącą ich do stajenki, w której się urodził Zbawiciel świata!

Zuzia torowała sobie drogę przez krzaki i gałęzie. Wreszcie wydostała się na wolne miejsce i zobaczyła tuż przed sobą domek należący do jej męża. Na oknie stała zaświecona lampa, która jej wskazała drogę przez ciemności.

Z drżeniem i wahaniem, a przecież też ze łzami radości zbliżyła się Zuzia do okna i zapukała nieśmiało.

Mimo późnej nocy siedział Meyer jeszcze przy ognisku i wydawał się Zuzi bardzo zamyślony. Gdy usłyszał pukanie, zerwał się z siedzenia i podskoczył do drzwi.

Wybiegał tak często, gdy mu się wydawało, że słyszy pukanie i wracał smutny, gdy się przekonał, że to była tylko halucynacja.

Tym razem jednak nie było to snem!

Wytrwała, stała miłość jego została wreszcie wynagrodzona. Ta blada, drżąca kobieta, patrząca na niego tak błagalnie, to była Zuzia, ta sama Zuzia, która była niegdyś jego dumą, jego szczęściem i jedyną pociechą!

Wziąwszy ją w ramiona, wniósł Meyer na rękach jak dziecko do izby, którą miłość jego dla niej uporządziła i ustroiła!

Nieokrzesany ten prostak okazał imponującą wielkoduszność.

Ani jednego słowa wyrzutu lub skargi! Ani jednego pytania, któreby Zuzię mogło zawstydzić!

Przez usta jego przedostało się tylko jedno słowo:

— Wróciłaś!

Zaprawdę, w niebie więcej jest radości z jednego nawróconego grzesznika, niż 99-ciu sprawiedliwych i cnotliwych!

ROZDZIAŁ CCXXIII.

Złapani na gorącym uczynku

Przy pewnej ulicy Wrocławia, nie cieszącej się najlepszą reputacją, znajduje się lokal piwniczny, którego szyld oznajmia, że można w nim dostać wszelkiego rodzaju zimne i ciepłe napoje, a szklankę kawy otrzymać można już za pięć fenigów.

Do lokalu tego wszedł obdarty, brudno wyglądający mężczyzna i zażądał szklankę grogu. Dialekt jego był wyraźnie południowo niemiecki.

Właścicielka tej piwniczki, tęga kobieta, z czerwonym nosem, poprosiła grzecznie, aby wprzód za żądany napój zapłacił.

Tak zagadnięty łotrzyk zaczął szukać po wszystkich kieszeniach, a nie mogąc mimo to zebrać żądanych 15 fenigów, kazał sobie podać kawę z bułką, zapłaciwszy wprzód 10 miedzianych fenigów.

Dostawszy filiżankę zabielonej i ocukrzonej kawy, zaczął się dość głośno delektować. Pani Gilke zaś, zagłębiła się znów w lekturę zatłuszczonego zeszytu, zatytułowanego: Losy hrabianki.

Była właśnie w bardzo zajmującym miejscu, w którym bohaterka zostaje uratowaną z palącego się okrętu, gdy usłyszała powtórne dzwonienie i zobaczyła wchodzącą, dość nędzną postać kobiecą.

Nosiła suknię, która niegdyś musiała być elegancka, ale obecnie była brudna, zatłuszczona i podarta. Na rudych, kręcych włosach miała brudną czerwoną chusteczkę, a mimo zimna nie nosiła żadnej zarzutki.

Zażądała też kawę z bułką, za które musiała naprzód zapłacić. Dostawszy ją, siadła do jednego z brudnych stołów.

W tej chwili odwrócił się pierwszy gość i zobaczywszy rudowłosą kobietę, krzyknął uradowany i zdziwiony:

— Niech mię diabli wezmą, jeśli to nie Marynia!

— Józefie — zawołała kobieta — skądeś ty się wziął we Wrocławiu?

— A co ty tu robisz? — zapytał się Józef.

— Ależ to niespodzianka! — rzekła znów Marynia — Opowiedz, jak ci się wiodło!

Przesiadła się do jego stołu i zaczęła się żywa, szeptem prowadzona rozmowa.

Pani Gilke, właścicielka tego lokalu, przypatrywała się z początku ciekawie przywitaniu godnej pary, ale nie mogąc słyszeć dalszej ich rozmowy, zabrała się na powrót do czytania swego romansu.

Właściwie mam z tobą jeszcze coś do pogadania — rzekł Józef — była to ładna niespodzianka dla mnie, gdym rozprówszy kamizelkę nie znalazł tam nic, prócz kilku nędznych gazet! Jakieś ty to zrobiła, ty babo z piekła?

— Tego ci nie zdradzę — odparła piękna Marynia — wreszcie ty mi się zrewanżowałeś, nie mamy więc sobie nic do wyrzucenia!

— Tak, to było wyborne! — zaśmiał się Józef głośno — gdzież podziały się twoje pieniądze?

— Tam gdzie twoje — odcięła mu się Marynia — wszystko się rozlazło!

— Czyś sama wszystko przeputała? — zapytał Józef.

— Nie — rzekła Marynia — pomogła mi hrabina i jeszcze jeden facet. Znasz przecież hrabinę?

— Dlaczegobym nie miał znać — obraził się Józef — mieliśmy nawet wspólne interesa! Czy ona teraz we Wrocławiu?

— Jest i zostanie tu na razie — odparła zapytana sucho — siedzi bowiem w więzieniu. Powód był ten, że będąc w sklepie jubilerskim, wsunęła przez zapomnienie



Uroczyste wprowadzenie do Londynu nowego Lorda - Mayora Sir Harry'ego.

jakąś bransoletkę do kieszeni. Jubiler źle to zrozumiał i kazał ją zamknąć.

— Hm, mruknął Józef — a kto jest ten facet, o którym wspominasz?

— Jest on tutejszy — informowała go Marynia — bardzo przyjemny, elegancki człowiek. Chodząc za interesami, nosił zawsze studencką czapkę i dlatego nazywano go tu Student Karle. Wyborniesmy się razem bawili, każdego wieczora gdzieindziej, w teatrach, kawiarniach, restauracjach. Było to bardzo piękne, tylko, że pieniądze poszły!

Wreszcie Karle musiał pójść znów na zarobek. Idąc wieczorem ludną ulicą, stanął przy pewnej wystawie i widocznie zbliżył się zanadto do jakiejś damy. Ta zaraz krzyknęła „złodzieje" i biednego Karla odprowadzili na policję, bo rzeczywiście portmonetka tej pani znalazła się w jego kieszeni.

Teraz jestem całkiem osamotniona i zrobiłam na własną rękę kilka małych interesików, z których miałam tyle tylko, aby z głodu nie umrzeć. No, ale teraz opowiadaj ty o sobie! — dodała.

— Nie mam wiele do opowiadania — odpowiedział Józef — byłem najpierw we Frankfurcie, a potem w Berlinie. Byłbym jeszcze dotychczas miał swoje pieniądze, gdyby nie była się przyczepiła pewna niewiasta, ona wyssała mnie jak pijawka. Chciała mieć wszystko, co tylko zobaczyła; wyciągała mi każdy cent! Wreszcie było mi tego za dużo.

Widząc, że Karolina mnie nie wypuści, dopóki będę miał centa w kieszeni, zmykłem pewnego pięknego dnia do Wrocławia. Przywiozłem jeszcze ze sobą kilkaset marek; ale one mi się już też rozeszły. Musiałem już nawet raz żebrać!

— Jak można żebrać? — zawołała Marynia pogardliwie — możebyśmy znów jaki interes na spółkę zrobili? — szepnęła ostrożnie.

— Dobrze — zgodził się Józef — bo ja sam tak mało Wrocław znam!

— Ja zaś wybornie już znam to miejsce!

Pożegnawszy się z panią Gilke, wyszli razem na ulicę.

Było już ciemno i padał drobny deszczyk.

— Chodź na promenadę — zaproponowała Marynia — tam najswobodniej pomówimy!

Poszli na promenadę, która teraz prawie zupełnie była pusta i usiedli na ławce.

— Zimno! — rzekł Józef.

— Zmarzluchu — łajała go ruda towarzyszka, chociaż się sama lepiej owinęła swoją ciepłą chustą. — Ale teraz posłuchaj mnie uważnie. Mam już od kilku dni coś na myśli, lecz nie wiedziałam, jak się do tego zabrać, bo trzeba było koniecznie kogoś, co by się umiał obchodzić z witrychem.

— Tom ci się w sam raz nawinął! — zawołał Józef uradowany.

— Nie przerywaj mi — ofuknęła się Marynia, kontynuując swoje opowiadanie. — Kiedyś, idąc ulicą podsłuchałam rozmowę dwóch służących. Jedna z nich chwaliła się przed drugą, że ma teraz świetny czas, bo jej państwo odjechali, więc może codziennie wieczorem pójść na spacer ze swoim narzeczonym, a przez cały dzień szyje i łata dla siebie.

Poszłam za nią, aby zobaczyć dom. Pamiętam jeszcze ulicę i numer. Popatrzyłam w górę i spostrzegłam, że na drugim piętrze wszystkie rolety były pospuszczane. Musi to więc tu być, pomyślałam. Przypatrzyłam się temu domowi bliżej. Oni jeszcze nie wrócili, ale musimy się pośpieszyć, bo służąca zaczęła już wczoraj okna myć, więc się ich widocznie spodziewa.

— Najlepiej załatwmy to dziś — radził Józef.

— Chodźmy zaraz — dodała Marynia uradowana — mam przy sobie kilka kluczy i wytrychów od Karla. Może tej służącej teraz w domu nie będzie.

— A jeśli będzie — spytał Józef.

— To sobie z nią damy radę — odpowiedziała jego wspólniczka — zatkam jej gębę chustką, aby nie krzyczała, a ty uderzysz czymś ciężkim po głowie i będzie spokojna!

Józef kiwnął potakująco głową i godna para oddaliła się szybkim krokiem.

Przed jedną piwniczką zatrzymała się Marynia i kazała swemu towarzyszowi zaczekać chwilę. Wróciła wkrótce z workiem.

— Kupiłam go za swoje ostatnie pieniądze — rzekła — bo trzeba przecież mieć coś, do czego by rzeczy zabrać można.

Wreszcie służy to za dobrą wymówkę. Gdy spotkam teraz w domu kogoś, który mi się będzie niebezpiecznym wydawał, to zaraz zapytam:

— Czy są jakie szmaty lub kości do sprzedania?

— O, przebiegłe z ciebie stworzenie! — podziwiał ją Józef.

Milcząc szli dalej. Po krótkim czasie wskazała Marynia swemu towarzyszowi dom i szepnęła:

— Ja pójdę naprzód, a ty przyjdź niebawem za mną!

Gdy się Józef w kilka chwil później skradał po schodach, wyszła Marynia naprzeciw.

— Wszystko w porządku — szepnęła — dzwoniłam kilka razy i nikt mi nie otworzył. Widocznym więc jest, że służącej w domu nie ma. Śpiesz się z otworzeniem drzwi wchodowych, a sprawa będzie wygrana.

Podczas, gdy Józef manipulował swoimi wytrychami, towarzyszka jego stała na straży. Wreszcie otworzył drzwi i oboje wsunęli się do pustego mieszkania, zamknąwszy je starannie od wnętrza, aby im nikt nie przeszkadzał w pracy.

Wszedłszy do pokoju spostrzegła Marynia zaraz duży, starożytny sekretarzyk.

— Tu pewno coś znajdziemy! — zawołała — otwórz tę arkę Noego, to się nam opłaci.

Idąc za jej radą, zaczął się Józef włamywać do sekretarzyka, ona zaś oglądała się po pokoju, co by stąd jeszcze zabrać było można. Że jednak nic takiego nie znalazła, przybiegła tym chciwiej do otworzonego sekretarzyka i przeszukała wszystkie szuflady i schowki.

Dość się tam obłowili. Znaleźli bowiem cenny zbiór starych monet złotych i srebrnych, kilka pełnych skarbonek z napisami, widocznie należących do dzieci, kilka kasetek z biżuterią i srebro stołowe.

Marynia wpychała ile się dało do swej kieszeni, którą miała w halce. Józef czynił to samo. Wtem usłyszeli u drzwi wchodowych dzwonienie, które się po chwili powtórzyło.

Złoczyńcy zadrżeli i spojrzeli po sobie przerażeni.

— Kto to może być? — szepnęła Marynia — wysunę się do przedpokoju, aby zobaczyć czy nie jest niebezpiecznie.

Wysunęli się obydwoje na palcach zmieszani i poirytowani.

Przed drzwiami przedpokoju usłyszeli głośną rozmowę.

— Gdzie może być Emilia! — rzekł gniewny głos męski — już trzy razy dzwoniłem, a ona nie otwiera!

— Musi być w dalszych pokojach i pewnie nie słyszy — łagodził go cicho głos kobiecy. — Zdaje mi się, że widziałam światło w jadalni. Czekaj jeszcze chwilę cierpliwie.

Wtem wbiegł ktoś prędko po schodach na górę i dał się słyszeć trzeci głos:

— Jezus, Maria, taż to państwo! Proszę się nie gniewać panie radco i pani radczyni. Myślałam, że państwo dopiero jutro przyjadą!

— Otwórzcie już raz! — rzekł radca jeszcze gniewnie — dość długo już tu przy drzwiach czekamy!

Dziewczyna wyjęła posłusznie klucz i wsunęła go do zamku.

— Nie wiem, co to jest — rzekła — ale tak się jakoś ciężko otwiera i łańcuch z zewnątrz jest założony, tam musi ktoś być... — dodała trwożnie.

— Ładna niespodzianka! — zawołał radca gniewnie — to pewnie złodzieje. Biegnij prędko na policję Emilio i przyprowadź ze sobą ślusarza! Ja tymczasem będę tu stał na straży, aż ty wrócisz!

Emilia zbiegła prędko na dół.

Radca opowiedział tymczasem kilku przechodzącym sąsiadom, co się stało i na korytarzu zgromadziło się wkrótce dość dużo ludzi.

— Co teraz zrobimy? — szepnął śmiertelnie blady Józef — teraz już tędy wyjść nie możemy!

— Oknem wyskoczyć — proponowała Marynia.

— Z drugiego piętra — oburzył się Józef — aby się rozbić na miazgę!

Włóżmy najpierw wszystko nazad do sekretarza, aby oni nam niczego dowieść nie mogli!

Wypróżnili kieszenie i powkładali wszystko na miejsce, z którego rzeczy te wzięli.

— Czy oddać im się dobrowolnie w ręce — zapytał Józef.

— Jeszcze co — odparła Marynia pogardliwie. — Otwórz tymczasem okno, aby myśleli, żeśmy wyskoczyli. Może wtedy wylecą wszyscy za nami na ulicę, a my tymczasem zdołamy im umknąć!

Ale w tej chwili usłyszeli głośne pukanie i stukanie do drzwi przedpokoju. Ślusarz zaczął widocznie swoją robotę przy łańcuchu, nie było więcej czasu do stracenia.

— Schowaj się jak prędko tylko możesz, a jak cię przyłapią, to przysięgaj, żeś tu sam był — nakazywała mu towarzyszka.

W śmiertelnej trwodze pobiegł Józef do dalszych komnat, aby się tam schować. Marynia zaś, która była o wiele doświadczeńsza i rozsądniejsza, wlazła do ciemnego kąta przedpokoju i skuliwszy się tam, czekała końca.

Stąd najprędzej mi się uda uciec — pomyślała.

Mimo odwagi nadsłuchiwała z biciem serca, co tu nastąpi.

Wtem usłyszała kroki wchodzących do przedpokoju osób.

— Niech dwaj zostaną przy drzwiach! — rozkazał gruby głos urzędnika policyjnego — aby nikt tędy nie mógł wyjść. Wy inni przeszukajcie wszystkie pokoje.

— Panie komisarzu, okno jest otwarte, może oni przez okno uciekli? — zapytał drugi głos — czy pobiegnąć za nimi?

Promyk nadziei wstąpił w serce Maryni.

Jeśli oni teraz wybiegną szukać za nami, to ja jestem uratowana — pomyślała.

Ale wnet usłyszała głos komisarza:

— Nie, to jest tylko podstęp z ich strony, że okno otworzyli. Chcieli nas zmylić, ale to przecież niemożliwe, aby wyskoczyli z drugiego piętra.



Marsz propagandowy młodych sportsmenek angielskich po ulicach Londynu.

Przeszukajcie wszystkie pokoje. Złodzieje tu gdzieś muszą być ukryci, ale tym razem wpadną w sieci na nich zastawione!

— Wpadną w sieci! — szepnęła Marynia machinalnie, zagryzając usta i załamując ręce z rozpaczy.

Godzina jej wybiła. Wiedziała dobrze, co ją czeka. Kilkuletnie więzienie, kilka lat obrzydłej strawy więziennej i ciężkiej pracy! — Wzdrygnęła się na samą myśl!

— Mamy go, panie komisarzu! — odezwał się teraz jeden z policjantów — był pod łóżkiem ten łotr.

Osioł — pomyślała Marynia pogardliwie, trzęsąc się coraz bardziej.

— Mamy cię ptaszku! — rzekł komisarz szyderczo, a zwróciwszy się do policjanta rozkazał:

— Okujcie go zaraz w kajdany!

— Panie komisarzu! — ja, ja chciałem sobie tylko mały żarcik z kucharką urządzić za to, że ona zostawiła drzwi od przedpokoju otwarte.

— O, jesteś przebiegły mój ptaszku! — odparł komisarz. — Chciałbyś to teraz w żart obrócić. No, zobaczymy o ile się potrafisz uniewinnić. Przyznaj się przede wszystkim, czy jesteś tu sam w mieszkaniu?

— Pewno, panie komisarzu — zapewniał go Józef, dzwoniąc zębami.

— Tak — odpowiedział komisarz. — Czyście przeszukali wszystkie pokoje? — rzekł, zwracając się znów do swoich poddanych.

— Tak, panie komisarzu — odpowiedzieli chórem.

— No, to przeszukajcie jeszcze dobrze przedpokój, rozkazał urzędnik — może tam jeszcze co się znajdzie.

I w następnej chwili już krzyknął jeden z nich triumfująco:

— Tu w kąciku siedzi skulona postać kobieca! A tuż obok niej stoi latarka złodziejska!

Rzekłszy to złapał Marynię za ramię i wyciągnął ją z ukrycia. Zabrał również latarkę.

To rzekłszy wyszedł za policjantami, prowadzącymi złoczyńców. Tłum ludzi zgromadzony przed domem zaczął wymyślać złodziejom.

— Mamy was wreszcie razem — rzekł komisarz zadowolony — czyś ty także chciała żartować z kucharką? — zapytał Marynię drwiąco.

— Ale nic nie ukradłam, panie komisarzu! — odparła zapytana arogancko — nic pan nie znajdzie przy mnie, jak mnie pan każe przeszukać.

— Chętnie ci wierzę, gołąbko — zaśmiał się komisarz — pewnoś czasu nie miała, alboś wszystko nazad położyła, gdyś zwietrzyła niebezpieczeństwo. Ale teraz marsz! Schmidt, pobiegnij po dorożkę, odwieziemy tę bandę!

— Panie radco — rzekł zwracając się teraz do gospodarza — proszę spisać wszystko, co panu brakuje, a jeśli pan myśli, że może kucharka pańska była w zmowie z tymi złodziejami, to mogę i ją równoczeście na policję zabrać!

— Nie, jestem pewna, że ona jest niewinną! — broniła pani radczyni swojej służącej, która na podejrzenie to, rzewnie się rozpłakała.

— Zobaczymy! — zauważył komisarz niedowierzająco. — Polecam się pamięci państwa.

Wreszcie wpakowano ich do dorożki, jeden z policjantów siadł obok nich, drugi naprzeciw i powóz ruszył do urzędu policyjnego, gdzie winowajców dokładnie miano zrewidować.

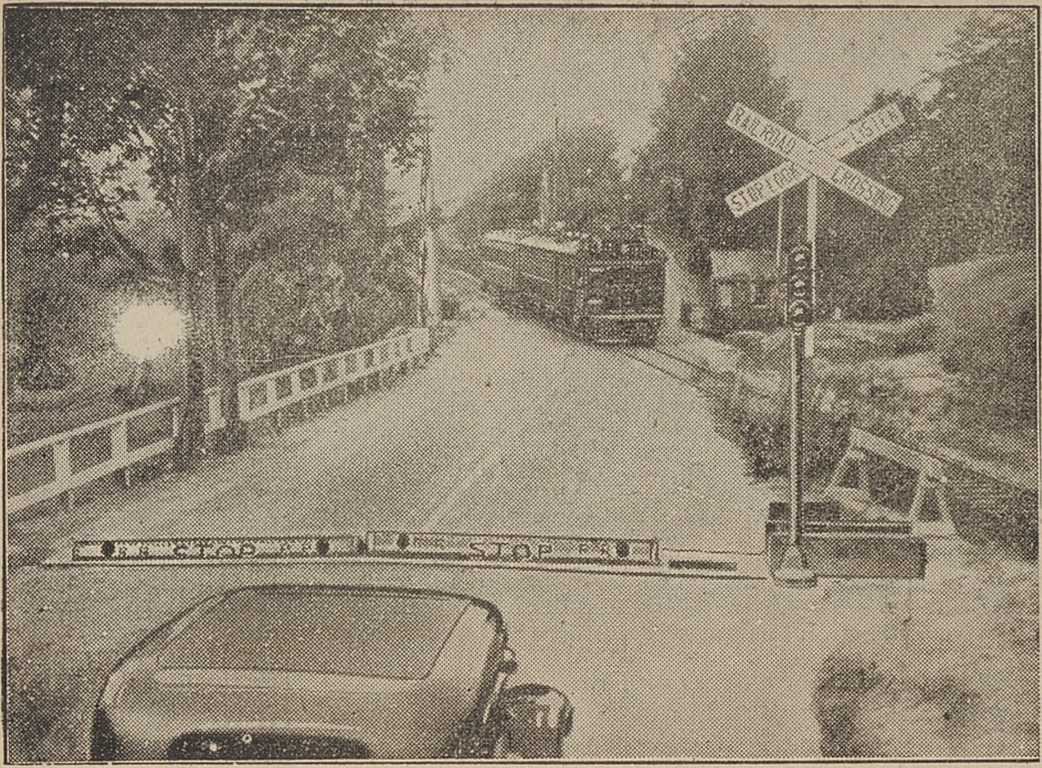
Z tłumioną wściekłością zobaczyli zbrodniarze, że nie ma dla nich ratunku i z rezygnacją poddali się swemu, aż nadto zasłużonemu losowi.

ROZDZIAŁ CCXXIV

Wzdłuż potężnego strumienia Molekumne jechał samotny jeździec. Zmęczony rumak jego postępował wolnym kłusem; było już dobrze po zachodzie słońca i zaczęło się ściemniać.

Zeskoczywszy z konia, napoił go jeździec i wyszukał dla niego kawał pastwiska; potem dopiero pomyślał o swojej wygodzie.

Wyjął swój prowiant ze skórzanej torby, przymocowanej do siodła i zebrawszy trochę chrustu, wzniecił ogień. Miało to podwójny cel. Raz dla sporządzenia skromnej kolacji, po drugie, dla odstraszenia dzikich zwierząt od swego obozu.



Nowy automatyczny system zabezpieczający przejazdy kolejowe na szosach amerykańskich.

Owym samotnym wędrowcem był Leon Waldau.

Krzątał on się koło ogniska i zajęty był ogrzewaniem płytkich kamieni, na których wypiekał placki kukurydziane.

Wokoło nie było ani jednego owocu, na zakończenie skromnej wieczerzy. Drzewa owocowe kwitły dopiero. Tak więc Leon zjadłszy swoje placki, popił je zimną, rzeczną wodą, gdyż flaszka jego była już wypróżnioną.

Gdy się Leon posilił, dorzucił chróstu do ognia i zaimprowizował sobie łoże. Potem spojrzał smutny na gwiaździste niebo.

Czy też Hortensja teraz patrzy w gwiazdy? — pomyślał. — Czy myśli o mnie z taką samą miłością, jak ja o niej? Może już o mnie zapomniała, jako o niewdzięcznym zdrajcy; a może myśli, że ja już nie żyję? Nie, — szepnął wreszcie, jakby dla pocieszenia się. — Hortensja nie zapomni! Miłość jej nie ostygnie, a wierność jej, mnie nie zawiedzie!

Myśl ta była dla niego wielką pociechą i błoga nadzieja wstąpiła w serce samotnego mężczyzny. Marzył o tym, jak wróci obładowany skarbami z dalekiego świata i złoży wszystko u stóp ukochanej kobiety; marzył o sławie, którą z nią chciał dzielić; jak ją będzie ubóstwiał i na rękach nosił, jak uszczęśliwi Hortensję i sam się jej szczęściem będzie upajał!

Któż więcej od niej na szczęście zasługuje? — myślał i rozczulił się wspomnieniem jej dobroci i ofiarności.

Gdy się obudził ze swoich snów na jawie, wokoło niego było ciemno.

Ach, jak dalekim był jeszcze od urzeczywistnienia swoich marzeń, od swego celu!

Ukrył twarz w dłonie, a ciężkie, krwawe łzy spływały mu po policzkach.

Wreszcie, znużenie fizyczne wzięło górę nad wzruszeniem moralnem i Leon zasnął smacznie na swym twardym łożu, a sny szczęśliwe przeniosły duszę jego w daleką ojczyznę!

Z brzaskiem dnia zbudził się i wybrał się w dalszą drogę. Miał zamiar zatrzymać się dopiero przy kopalniach złota nad rzeką Molekumne, i tam szczęścia swego spróbować.

Był już bliskim swego celu, a poznawał to po ruchu na gościńcu, który się coraz bardziej ożywiał. Całe karawany i samotni podróżni na koniach, mułach lub piészo, posuwali się obok niego, a wszyscy dążyli do jednego celu.

Po kilkugodzinnej drodze zatrzymał się wreszcie w miejscowości najbliższej kopalń.

Osada ta powstała dopiero w ostatnich kilku tygodniach i domki w niej były okropnie prymitywne, raczej rodzaj szałasów, służących jako schronienie nocne setkom ludzi, których chęć wzbogacenia się tu zagnała.

Był tu nawet hotel, t.j. również rodzaj obozu, tylko że przestronniejszy od innych. Całe umeblowanie tego hotelu składało się z dwóch stołów, zbitych z surowych desek, grube pnie drzewne służyły za krzesła, a na drewnianych półkach stały wilktuały rozmaite.

Do tego hotelu zajechał Leon. Zsiadłszy z konia, przywiązał go do drzewa, a sam usiadł, aby się po dłuższej podróży pokrzepić jakąś pożywną strawą.

Był zdziwiony, gdy się dowiedział, że w tej prymitywnie wyglądającej restauracji, można dostać wszelkie możliwe delikatesy i najlepsze gatunki wina.

Właściciel zajazdu, gadatliwy Francuz, dał mu do wyboru szampana, wino burgundzkie, Bordeaux itd.; miał konserwy, drób, dziczyznę, delikatne jarzyny i kandyzowane owoce.

Zato seny tych delikatesów były bardzo wygórowane.

Flaszka wina kosztowała 20—30 dolarów, pół kurczęcia 10 dolarów, mały talerzyk groszku 5, a kromka chleba 1 dolar.

Leon kazał sobie tylko podać chleba, szynki i pół butelki czerwonego wina, jednak i za ten skromny posiłek musiał zapłacić 8 dolarów.

Postanowił więc odtąd być na własnym wikcie, gdyż gotówka jego znacznie się już zmniejszyła.

Posiliwszy się, udał się niezwłocznie na miejsce, gdzie wydobywano złoto. Pracowano tam jeszcze pilnie, mimo zapadającego dnia. Setki ludzi mozoliło się tu nad wydobywaniem lśniącego kruszcu, który się stał klątwą i nieszczęściem ludzkości!

Miejsce, w którym złoto wypłukiwano, było płaską przestrzenią między łożem rzeki Molekumne, a zlaniem się jej z innym, na pół wyschłym strumieniem.

Grunt był twardy, skalisty i okazywał wielkie zagłębienia i wydrążenia. Wydawało się, jakoby każda piędź ziemi tu już była przekopana i każda najmniejsza żyłka szlachetnego kruszcu wyeksploatowana chciwymi rękami ludzkimi.

Leon patrzył na tę pracę ze zdziwieniem. Część pracujących wykopała właśnie nowy kanał, sprowadzający wodę z łoża Molekumny.

Jedynym ich narzędziem były łopaty, duże sita i deski drewniane, na których spłukiwali piasek. Mężczyźni byli aż po piersi zanużeni w wodę i wydobywali z natężeniem wszystkich sił olbrzymie kamienie, przebierali rękami w glinie i żwirze, wydobywając stamtąd pełne garście złotodajnej ziemi. Ziemię tę najpierw przesiewano, potem płukano i po części oddzielały się złote grudki w nagrodę za trud pracujących. Nie zawsze jednak praca była wydajna. Czasami kopano i przerzucano ziemię całymi dniami, nie wydostawszy nic innego, prócz gliny i żwiru. Inni znów w jednej szczęśliwej godzinie wzbogacili się ogromnie.

Gdy Leon zobaczył, jak tu stosunkowo niedużą pracą można przyjść do kruszcu, który światem rządzi, opanowała go także gorączka nagromadzenia skarbów ukrytych tu przez naturę.

Byłby najchętniej zaraz złapał łopatę, ale było już prawie ciemno. Musiał się więc wstrzymać w zapale aż do dnia następnego.

Wszyscy przestali teraz pracować i odrzucili na bok swe narzędzia. Jedni wracali uradowani dużym zyskiem, inni przeciwnie spieszyli pod dach swój z próżnymi kieszeniami i przekleństwem na ustach.

Większa część udawała się do restauracji, gdzie trwoniła ciężko zarobiony grosz, pijąc szampana po 30 dolarów flaszkę, jak wodę i połykając ostrygi.

Następnie towarzystwo zaczęło grać w karty i to na bardzo wysokich stawkach. Nikt się o to nie troszczył, że przegrywał. Było tu złota podostatkiem i każdy nowy dzień mógł przynieść nowe skarby.

Wreszcie w całej osadzie zapanowała cisza. Zmęczeni ciężką pracą dzienną wesołą zabawą wieczorną, usnęli osadnicy ciężkim snem, aby zebrać nowe siły na dzień jutrzejszy.

Leon rozbił znów swój namiot i zasnął spokojnie, po raz pierwszy od długiego czasu, znowu z przeświadczeniem, że znajduje się w gronie licznych bliźnich.

Z brzaskiem dnia zaczęło się w osadzie ożywiać. Wszystko co żyło spieszyło do kopalni próbować na nowo swego szczęścia.

Leon zapytał się właściciela restauracji gdzieby mógł dostać łopatkę i inne potrzebne narzędzia, lecz nie mógł się u niego tego dowiedzieć.

Ciąg dalszy na str. 957.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

W LISTOPADOWĄ NOC..

Już zagasł dzień — i noc pochmurna
swym mrocznym cieniem
spowiła ciszę —
ukołysała senne wspomnienie...
Lecz jeszcze słyszę
daleki poszum, wichrowy śpiew...
To w noc pochmurną
liście lecą... z przydrożnych drzew.

W pochmurną noc listopadową
w dzwoniącą ciszę zasłuchany —
słyszę, jak deszcz łzy srebrne roni
na szybach szklanych...
Jak drzewa szumią swą melodię,
jak wiatr gałęźmi wśród nich targa,
jak pod oknami skomli głucho
bezsłowna skarga...

I w taką noc listopadową,
słyszę, jak mroczne echo wspomnień,
z oddali chmurnej ku mnie niesie
pieśń twej tęsknoty —
A tu z drzew wicher strąca liście
w noc smutną... jak sama jesień...

Józef Baranowski.

PROSZĘ O ADRES

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Bajkał", „Raul", „Danka", „Zrównoważony", „Jasieńka", „Biały Tulipan", „Jasny Felek" i „Stenia z Ina".

JESTEŚ ZADOWOLONA

„Samotna Oleńka". Nie musisz „tęsknić, nie musisz czekać", bo ja „ciupasem" odpisuję. Ach, z Ciebie jest morowa Dziewczyna — ile razy napiszesz mi słów parę, tyle razy to stwierdzam.

Sprawę administracyjną załatwiłam — jesteś więc zadowolona?

Nie sądzę, abym nie odpisała Ci na poprzednią kartę, prędzej Ty przeoczyłaś odpowiedź, albo ja tej odkrytki nie otrzymałam — zawsze odpisuję na listy moich Sympatyków (nie myśl, że mówię tylko o rodzaju męskim). Wszelako, gdy jesteś tak „najpewniej" pewna, że Ci nie odpowiedziałam, uśmiechnij się i po swojemu powiedz: „Nie gniewam się już na Ciebie, Droga Dziewuszko". A dziewuszka ucieszy się z tej nowiny i wesołe rzuci Ci: bywaj!

Przechodzę do komunikatów:

„Dzinko", za pocztówkę dziękuję — odpiszę, gdy mi czas pozwoli. W tych dniach wróciłam z Bydgoszczy — przeżywam wrażenia. Całuję buźkę!

Leonie N. ze Świby — nie rozumiem Twego milczenia. Czekam jak najszybszego wytłumaczenia. Pozdrowień moc z Mog.

A Ty Alfonsie w B., zapomniałeś odpisać i zwrócić moje fotosy. Czy aż trzeba Tobie o tym przypominać? Pozdrowienia Tobie, Kuzynku, i szybko nadsyłaj, bo ją czekam.

Moc pozdrowień dla „Chłopca z Kaszub" — może odnowisz znajomość?

Dla całej „Krainki" najserdeczniejsze pozdrowienia.

RÓŻE

Leżą przede mną purpurowe róże
Prześliczne i pachnące...
Ja ręce moje w ich płatkach nurzę
I... usta moje gorące...

Całuję lekko płatki czerwone
I długo się nimi pieszczę...
Aż opadają pieszczotą znużone
I wtedy przestaję wreszcie...

Leżą przede mną opadłe listeczki,
Bez woni już i uroku
Ja patrzę z smutkiem na zmięte płateczki,
Nie mogąc oderwać wzroku...

Krystyna Waligórska.

NIE OMIESZKAJ ODWIEDZIĆ!

„Irek". Jakżeby mateczka mogła zapomnieć synka „Irka" — powiedz sam, Miły Panie? I do tego synka, który „przegadał" z nią w redakcji sporo lotnych chwil!

No, muszę pamiętać o Was wszystkich, aby broń Boże! kiedyś na podstawie krótszej lub dłuższej rozmowy ze mną w redakcji, nie skonstatowało któreś, iż nie powinnam być opiekunką Waszego grona. Jak do tej pory, wszyscy, którzy mnie tu odwiedzili — wyjeżdżali zadowoleni i z większym jeszcze uczuciem sympatii i przywiązania. Ba! zdarzyło się nawet, że któryś z „Krainiaków", po wizycie w redakcji, wyciął mi reprymendę za to, że będąc taką sobie niby niebrzydką, mogłam odmówić umieszczenia swego zdjęcia na żądanie „Rodzinki". Wypisał mi z goryczą, że myślał zastać prawdziwą starą „Ciotunię", a tymczasem musiał zgodzić się na wcale młodą „Cioteczko-mateczkę". Bo wiadomo Wam, że nazywacie mnie różnie, zależnie od tego, jak komu wygodniej i sercowiej!...

Więc Ty, „Irku" — stwierdzasz to samo? Trudno!

Cieszy mnie, że tak głęboko wziąłeś sobie naszą rozmowę do pamięci i serca!

Jak będziesz na przyszły rok znowu gdzieś w okolicach Żnina, to koniecznie nie omieszkaj odwiedzić życzliwej Ci przyjaciółki, która, nawiasem mówiąc, uprzejmie Ci wybacza tę cierpliwą obserwację na Targach Pałuckich.

Za ukłony dla Wujka Janusza i miłe pozdrowienia dla całej „Krainy" dziękuję bardzo i przesyłam serdeczny uścisk dłoni.

NAPISZCIE WIĘC...

„Rozkoszna Rena". Któż to znowu?! — ktoś ogromnie figlarny, miły i młodziutki, ot, takie sobie stworzonko o buzi, jak malowanie i ciepłym, dobrym spojrzeniu. Stworzonko to jest rodzaju żeńskiego i zamieszkuje na spokojnych, szarych równinach Ziemi Pałuckiej. Lubi podobno chłopców! Czyż to zresztą zbrodnia? Nie sądzę, a więc napiszcie do tego rozkoszego dziewczątka!

Acha! Byłabym zapomniała! Wkrótce otrzymam od „Rozkosznej Reny" fotografię z tym, że będzie mi ją wolno zamieścić w „Krainie". Zobaczymy więc wszyscy kto to taki, ta nasza nowa, miła Sympatyczka!

NA WIZYTĘ — CIESZĘ SIĘ

„Oleńka z poza szlaku". Miła Panno Olu! W redakcji znajdzie mnie Pani codziennie od godziny 9—1-szej i 3—7-mej. O, już naprzód wyobrażam sobie, jak miło z Panią pogawędzę! Tylko proszę nie zrobić mi zawodu z tą przyobiecaną wizytą.

Co do korespondencji, to uważam, że nie kryje się w tym nic zdrożnego, jeżeli młoda panienka koresponduje z nieznajomymi i w dodatku potrafi w korespondencji zachować pewien takt i umiar. To moje przekonanie powinno Panią nastroić jak najlepiej do „Krainy" i uczynić nieczułą na zbyt skrajne sądy o naszym kąciku. Powinno Pani wystarczyć, że nie czyni Pani nic złego, nic niewłaściwego i nic takiego, co by Pani w jakikolwiek sposób uwłaczało. Zresztą ten temat poruszymy jeszcze ustnie, prawda?

Apel zamieszczam z całą przyjemnością:

„Leśna Rusałko" i Ty, „Lilko"! Zniknęłyście z horyzontu mego życia, jak sen złoty. Dziewczynki Kochane, co się z Wami dzieje? Piszcie, bardzo proszę!"

WZIĘŁAM POD UWAGĘ

„Eros". Widzę, że zebrało się sporo listów Pana, Miły „Erosie" — nie bierz proszę zapracowanej „Ciotuchnie" tego za złe. Przy tym jest ona już taką skrupulantką, nielubiącą zapominać o kolejce — możesz jej to żartobliwie wypominać, ale nie wolno Ci zachowywać urazy. Rozumiemy się — prawda? To dobrze — mogę już z większym spokojem przejść do poruszonych przez Ciebie zagadnień. I tak, projekt Pana oddałam do dalszego rozpatrzenia. Jaki będzie ostateczny wynik, jeszcze nie wiem!

Od siebie Panu (wypadasz mi siostrzeńcem w „Rodzince", czy bratańcem?) więc chciałam Miłemu Bratańcowi podziękować za pamięć w nadsyłaniu zadań do „Chwili zastanowienia". Jestem Ci ogromnie wdzięczna za to, że się tak zatrudniasz pro publico bono!

Czytam właśnie Twój ostatni list i stwierdzam z uśmiechem, że stajesz się nieco tajemniczy — przeglądnij dobrze dzisiejszą „Krainę", a znajdziesz sam odpowiedź na zadane mi pytanie.

Myślałam, że jedno z drugim ma związek, lecz zdaje się, że się jednak omyliłam. Jakby nie było, postaraj się Pan zniwelować ciężar wyrządzonej przykrości i napraw nieumyślnie zaaplikowaną pigułkę rozczarowania, jeżeli możesz. Jeżeli możesz — powtarzam.

No, czekam na przyobiecane wyjaśnienie i przechodzę do komunikatów. Aha! Jeszcze nie! Jeszcze jeden ważny list Twój, w którym zapytujesz mnie, czy wiem, jak w wierze mahometańskiej nazywa się wódz szatanów — niestety, nie jestem tak dalece zorientowana w hierarchii szatańskiej, a do tego jeszcze pochodzenia mahometańskiego. Ale może który z „Krainiaków" wie coś o tym belzebubie — jeżeli tak, to bardzo proszę donieść mnie, albo wprost „Erosowi".

Komunikaty:

„Przedwiośnie" — życzenie spełniłem. Czekam wyniku. Serdecznie pozdrawiam!

„Szara Dziewczyno" — pozdrawiam i czekam wieści.

„Maryla spod Wągrowca" — dziękuję i odwzajemniam pozdrowienia!

Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom radosny uśmiech i pa!

W ODPOWIEDZI NA WASZE ZGNĘBIONE LISTY

Przedwiośnie". Halo! „Mała Konwalijko", „Bajkał", „Smutna G." oraz wszystkie moje rozpaczające „Krainiaki" — specjalnie w odpowiedzi na Wasze zgnębione listy przedrukowuję ten głęboki, godny miana lekarstwa choroby moralnej, sercowej — list „Przedwiośnia":

A Tobie „Przedwiośnie" — na zawsze daję miejsce poczesne w swym sercu i pamięci. Przekonanie o Twej szlachetności iść będzie ze mną zawsze i wszędzie i będzie mi podporą w chwilach ciężkich i wówczas jeszcze gdy, jak niedawno w odpowiedzi dla „M. K." — poczuję się bezradną i zgnębiona. Gdy już nie znajdę w sobie myśli dość jasnej i przekonywującej, aby ją rzucić osobie potrzebującej i oczekującej mej dobrej, zwycięskiej rady.

Stałaś się moją świadomą odskocznią od myśli przykrej, siejącej zwątpienie — myśli, że nie ma na świecie idealów i bezinteresownej miłości bliźniego.

Właśnie onegdaj poruszałam ten temat z „Bajką", a teraz mam konkretny przykład na Tobie, że istnieją rzeczywiście czynni wyznawcy tej idei. Bądź zawsze taka jasna i dobra i chciej zawsze pozostać czułą na krzywdę innych i zawsze miej taką pozytywnie pomocną rękę (znam wszak dzieło Twego miłosierdzia) — a szczęście i zadowolenie z dobrze zrozumianego i... spełnionego obowiązku człowieka zawsze będzie Ci towarzyszyć, będzie Twym niezmiennym udziałem.

Życzę Ci pomyślności i szczęścia, Mała Moja pracowita Dziewczynko!

„Nie żałuję, że cierpiałam. Cierpienie nauczyło mnie dużo dobrego i uszlachetniło mój charakter. Jestem teraz silna i nie tak łatwo zmoże mnie ból. Znając gorycz i smutek, wiem jak ciężko nieraz bywa człowiekowi zdanemu na samotność, znosić cierpienia. Ja miałam Panią Zosieńkę i tyle kochanych serc przyjaznych, ale to tylko ja byłam, niech się tak wyrażę — wybranką losu, a ilu ludzi nie ma kochanych przyjaciół, którzy podaliby im pomocną dłoń w krytycznej dla nich chwili. Dlatego ją, w podzięce Bogu za te złote promyki słońca w dniach, gdy horyzont mej duszy zasnuty był czarnymi chmurami — chcę być dobrą, całe swe serduszko chcę oddać skrzywdzonym ludziom, by wszystkim było jasno, by wszyscy się uśmiechać mogli, tak jak ja obecnie się uśmiecham. A uśmiecham się innym uśmiechem, nie tym zwykłym, bo tym

uśmiecham się zawsze, choć w sercu była pustka i gorycz. Mój uśmiech, to wewnętrzna pogoda ducha, to pogodne spojrzenie na świat, to radosna wola przezwyciężania wszelkiego zła, to wiara w dobroć, w wartość szlachetnych dążeń i wysiłków. Kocham życie i wiem, że muszę w nim coś osiągnąć i zrobić, wiem, że jest szczęście na ziemi. Dla każdego może inne, ale na pewno jest! Lecz nie trzeba je szukać gdzieś w zaświatach, szukajmy je w tym, co nas otacza. Od dwóch tygodni prowadzę świetlicę w schronisku dla podrzutków. Są tam istotki, najwięcej przez życie skrzywdzone, bo pozbawicne pieszczot rodzicielskich, którzy się ich wyrzekli; istotki, które w życiu będą napiętnowane. A za co? Cóż te biedne dzieciny zawiniły, za co je los tak krzywdzi? Są to takie dobre dzieci, trzeba tylko nimi pokierować. Tak kocham je! Wszystko uczyniłabym, aby im pomóc. Nie chcę, by odczuły tę wielką krzywdę losu. Staram się dać im choć trochę ciepła i to przeświadczenie, że jest osoba, która je kocha. Musiałaby Pani zobaczyć, jak te dzieciaki mnie witają, wprost wnoszą do sali. Mają do mnie wielkie zaufanie i zwierzają mi się ze swych dziecięcych kłopotów, wzrusza mnie to głęboko i staram się nie zawieść tego wielkiego zaufania. Czasem w czasie wesołej zabawy, zapominam o wszystkim i staję się też dzieciakiem, wracam w kraj lat dziecinnych. Pięknie śpiewamy, zabawiamy się grami, gawędzimy o zmierzchu lub opowiadamy bajki i jest nam okropnie dobrze ze sobą, aż żal nam się rozstawać. Wychodzę zawsze żegnana okrzykami i prośbami, bym tylko na oznaczony dzień przyszła. Tak mi jest dobrze, tak umiłowałam moje zajęcie, które daje mi tyle zadowolenia i szczerej radości. Wszystko wydaje mi się nie takie ważne, w obeconości tych istotek zapominam o całym świecie. Pani Zosieńko, praca ta ma być podarunkiem, i podziękowaniem za wszystko jasne i dobre, co mnie ze strony Pani i „Krainy" spotkało. Tak pragnę się Pani czymś odwdzięczyć, sprawić Jej odrobinę radości lub przynajmniej zadowolenia, tylko nie wiem, czy to mi się udało, bo skromny to dar, przynoszący raczej mnie zadowolenie i korzyści. Tak mało mnie obchodzą i stroje i flirty i różne inne rozrywki młodzieży. Tamto wszystko, zajmuje mnie tylko ubocznie, nie chcę stać się „lalką", pragnę być człowiekiem. Pomogła mi w tym Pani i „Kraina", ale o tym szczegółowiej napiszę innym razem i opowiem Pani, czym była dla mnie „Kraina" w dniach załamań duchowych. Nigdy dotąd nie pisałam o tym, ale wkrótce to uczynię i przekona się Pani o Swym zbawiennym wpływie na cierpiące dusze. Pani dała mi pogodę wewnętrzną i równowagę ducha, którą miałam nadszarpniętą, przeżywając śmierć ukochanej Matki i bolesny zawód życiowy. Prawie dwa lata żałoby w rozkwicie życia, dwa lata nurtującego bólu, a jednak jestem spokojna i mogę się uśmiechać, tym uśmiechem wewnętrznym, tym z głębi duszy. W chwilach walki wewnętrznej, brałam do ręki „Moje Powieści", przeglądałam „Krainę" i wyczytywałam w niej odpowiedzi na wszystkie moje myśli, pytania, zwątpienia, niewypowiedziane nigdy nikomu i czerpałam z nich moc i ukojenie. Dawniej bawiły mnie „M. P.", po prostu lubiłam je jako książkę, zaś zachęcała i zdobywała „Kraina", prowadziłam dość szeroką korespondencję z „Krainiakami" — i to mi wystarczało. Dziś nie są one dla mnie książką. Trudno mi ująć w słowa listu, czym są one dla mnie. Są jakby małym światem, w którym panuje równa, pogodna atmosfera przyjaźni, gdzie ludzie są dobrzy i szlachetni. Każdy numer jest mi tak drogi, że wprost z tkliwością biorę go do ręki. Już od dziecka odznaczałam się wielką uczuciowością i dlatego wszystko odczuwałam głębiej i boleśniej od innych, i z tego powodu więcej od innych, brak mi było przyjaźni i serca, które znalazłam nie gdzieś daleko w świecie, ale właśnie w naszej „Krainie" i może więcej od innych zdaje sobie sprawę, co „Krainie" zawdzięczam i więcej ją kocham! Trudno mi brać wszystko na rozum, jak to Pani mi zaleciła w ostatniej odpowiedzi, bo u mnie zwykle bierze górę serce, co nie zawsze wychodzi na dobre, bo serce zazwyczaj bywa w sprzeczności z rozumem, który jest zimny i wyrachowany, ale trudno, ja inaczej już nie mogę... Na przykład projekt jazdy do Żnina w przyszłym roku podyktowało mi właśnie serce, które chce zobaczyć i porozmawiać z osobą, którą ukochało i podziękować za wszystką dobroć, gdy znów rozum szeptał: „wszak można zrobić to listownie, kto wie, czy p. Zosia będzie z twej wizyty zadowolona, może rozczaruje się co do twej miernej osóbki... i tak bez końca mruczy uparty rozum. I co tu zrobić: przyznać zwycięstwo sercu, czy też rozumowi??? Ojej! Zabrałam dziś Pani tyle czasu swoimi sprawami, ale Pani Zosieńko — Kochana, Złota, Jasna i proszę mi wybaczyć tylko ten jedyny razik — już więcej nie będę, obiecuję i przyrzekam poprawę. Gdy kończę ten długi liścik, świeci już złote słoneczko, całując promykami te literki, przesyłam więc ten list — słońcem całowany, a sercem pisany, by powiedział Pani, jak strasznie mocno Ją kocham i jak bardzo pragnę, by Pani pokochała troszkę to małe, czasem tak niemądre i bezradne „Przedwiośnie".

Dla Sympatyków:

„Czarny Hajduczku" i „Blanko" — byłam głęboko wzruszona Waszą pamięcią o mnie. Dziękuję Wam, Moje Najdroższe Dziewczątka i całuję mocno słodkie buziaki Wasze.

„Smutna i brzydka Irko"! — Za miłą niespodziankę ściskam Ci łapki i proszę nadal o pamięć, a przede wszystkim o... adres. Przyślij mi go prędko, Iruś. Dobrze?

„Ziuteńko" — bardzo chętnie, ale musisz pierwsza napisać, bo nie mam czasu. Napiszesz? To dobrze, ucieszę się bardzo, a na razie przesyłam Ci serdeczne pozdrowienia i czekam...

„Nell z Bydgoszczy" — widziałam Cię, bawiąc tam na św. powitania armii. Toś Ty była około godz. 20-tej na rogu Placu Teatralnego — prawda? Milunio Cię pozdrawiam, i... nie miej do mnie żalu Kochanie, ale to stało się z przyczyn ode mnie niezależnych.

„Zbijobruku Poznański" — uściski odwzajemniam. Wobec stwierdzonego faktu, czy nie uważasz, że powinniśmy się zaprzyjaźnić? Tęsknie wyglądam od Ciebie słowa i uśmiecham się do Słodkiego Dziewczęcia.

Pragnę nawiązać korespondencję z przystojnym, kulturalnym oficerem K. O. P-u. Z niecierpliwością oczekuję odzewu z rubieży Rzeczypospolitej".

CZY DŁUGO MAM CZEKAĆ?

„Młody Orzeł". No cóż, Młody Przyjacielu, czy już ukończyłeś twój kurs szybowcowy? Miałeś zaraz po powrocie do Poznania opisać mi dokładnie swoje przygody — czy długo jeszcze będę czekać?

Cieszy mnie, że tak b. zadowolony jesteś z wszystkiego, — widać, żeś dzielny i z życiem łatwo dajesz sobie radę. Ono Ciebie prowadzi, a Ty je wspierasz i tak tobie żwawo, radośnie kroczycie: naprzód bez wahań i wstrzymań. Oby tak zawsze Wam dobrze było, zawsze!

Za pozdrowienia w swoim i całej „Krainy" imieniu serdecznie dziękuę i przesyłam Panu silny, przyjacielski uścisk dłoni.!

OBY JAK NAJPRĘDZEJ!

„Wieszczka Kwiatów". Może się Pani zdziwi, lecz ucieszyłam się ze stanowczej zapowiedzi nierezygnowania na teraz i później z pisania wierszy. Widzę, że mam do czynienia z Dziewczynką z charakterem, a lubię bardzo takie typy. Postaram się też przyczynić u Wujka na Twoje konto i w ten sposób obie będziemy z siebie zadowolone. Przyjemna (bez ironii) perspektywa i oby mi takich „niesfornych dzieci" przybywało jak najwięcej!

Pozdrawiam Cię i w Twoim imieniu donoszę „Przedwiośniu", iż dziękujesz jej za pozdrowienia i prosisz o list. Ponadto „Krainie" wyrażam moc Twoich ciepłych pozdrowień.

PRZESYŁAM UŚMIECH

„Humorystka". Słusznie stwierdzasz, Miła Dziewczynko, że wojna to okropna rzecz, a pomór na drób, to dla dobrej gospodyni coś jeszcze znacznie gorszego od wojny. Przykro mi, że i u Ciebie coś takiego się wydarzyło!

Więc rzeczywiście korzystasz dużo z naszych pism — bardzo to mnie cieszy! Wzajemnie życzę ci dużo radości i przyjemności w tym zresztą miłym zajęciu. Chyba pochwalisz mi się, gdy skończysz nowe płócienne cudeńko — czy tak?

Nie napisałaś mi, czy jesteś zadowolona z korespondencji z naszą „Rodzinką"?

Pozdrawiam Cię w swoim i „Krainki" imieniu i przesyłam wesoły uśmiech.

CZEKAM!...

„Czarnooka Blondynka" skarży się, że do tej pory nie otrzymała listu z „Krainy". O ile wiem, to posyłałam już listy pod tym pseudonimem, ale mam Was dwie i listy poszły do tej, która podała swój adres.

Ciebie, Kochanie, oznaczyłam rzymską cyfrą II. Jak teraz, któreś z „Krainiaków" przyśle Ci list — nie będzie pomyłek.

Halo! Zanoszę niniejszym prośbę do Was, Mili Moi, abyście zechcieli już szybko przysłać dużo, dużo listów dla pokrzywdzonej Dziewczynki. Czekam!...

NIE ZROZUMIAŁAM

„Fleur". Przyznam się Panu szczerze, że niebardzo zrozumiałam, o co Panu właściwie chodziło w tym ostatnim liście. Wierszyk dość słaby, więc może lepiej niech go Pan nie posyła. Fotografię w myśl życzenia zwrócono Panu — miłe było to chrześnię Pana.

Do obu wymienionych Pań z powodzeniem możesz Pan napisać, a może już to uczyniłeś? Napisz mi — jeżli nie uważasz tego za niedyskrecję.

Życzę Panu dużo przyjemności i pozdrawiam serdecznie!

Teczka Wujka Janusza

WIERSZ ZAMIESZCZAM

P. W. R. z W. Nadesłany wiersz oddaję do druku i podobnie, jak Pan, mam nadzieję, że „Oddal" spodoba się naszym Czytelnikom i zachęci ich do nabycia tomika poezyj P. Eustachego Rylskiego, który właśnie wyszedł z druku i nosi tytuł: „To co jest".

ODDAL

Rozkochały się me oczy w oddali,
w nieskończoności lazurowej fali,
kędy się księżyc wieczorem rozpali
w światów bezkresie...
Moja myśl biedna się niesie
za księżycową dalą
i tak się błąka bezdomna,
a taka oddal i głębia ogromna
i tak się myśl moja rozsmutni
na nieskończonych strunach zaświatowej lutni —
że się za smutną myślą smutne pieśni żalą...

Eustachy Ścibor - Rylski.

Z cyklu: „Z głębokiej rzeki" — 64.

DZIĘKUJĘ!

„Czarodziejka". W imieniu p. Zofii dziękuję Pani za śliczne zdjęcie. Czy wolno je umieścić w „Krainie"?!

Wierszykami Pani jestem rozbrojony. Miłe, bardzo miłe! Ślę dużo serdecznych życzeń!

WIERSZYK DLA „SMUTNEJ IWONNKI"

Jak w siny wyż
Ulata dym —
Tak mija czas
I szczęścia moc.
Jak tęczy pas,
Jak gwiezdna noc —
Tak miną sny,
Promienne sny.
— Z tęczowych zjaw
Zostaną łzy. —

„Czarodziejka".

WIERSZYKI DOBRE

„Hania znad Brdy". Pierwsze próbki talentu Pani — wypadły przemiło. Czekam na dalsze wierszyki, a dzisiaj zamieszczam najlepszy z czterech nadesłanych — „Znowu cię — nie ma..."

ZNOWU CIĘ NIE MA...

Znowu cię nie ma... sercu tak boleśnie,
Żal je bezbrzeżny scisnął na kształt kleszczy.
Widzę, jak szczęście odbiega mnie wcześnie,
W duszy się rodzi lęk jakiś złowieszczy.
I sny po nocach jawią się koszmarne.
A zaś na jawie — gnębi mnie tęsknota,
Trapi mnie smutek i myśli tak czarne,
Że aż do życia odbiega ochota.
Czemu nie przyjdziesz, tak, jak kiedyś, do mnie
I nie przytulisz do siebie miłośnie?
Czemu nie powiesz, że kochasz ogromnie,
Że jest ci ze mną dobrze i radośnie?...
Swiat mi się zdaje jako grobu ciemnie.
Brak mi do życia twej miłości słońca —
Chciałabym odejść od ciebie — daremnie,
Cierpieć i kochać cię będę bez końca.

„Hania znad Brdy".

Raj kobiet



Bardzo miła sukienka z baskinką, wykonana z wełny w drobne prążki; dekorację stanowi żabot, przybrany guziczkami — Sukienka popołudniowa z jasnej wełny, jako uzupełnienie żakiecik z aksamitu lub wełnianej georgette'y — Elegancka suknia z deseniowego materiału — dla szczupłej pani — Oryginalna suknia sportowa z jasnej wełny, pomysłowo przybrana stebnowaniem i guzikami. — Dwuczęściowy komplet: suknia z jasnej wełny i żakiet z materiału drobno nakrapianego; kołnierzyk z aksamitu, w kolorze deseniu — Skromna, lecz miła sukienka sportowa z jasnej wełny.

Modne drobiazgi

Ubranie pani składa się nie tylko z sukien, kostiumów, okryć i bluzek. W skład jego wchodzi cały szereg drobiazgów, które stanowią integralną z nim całość, bez których absolutnie obejść się nie można. Można wydać bowiem masę pieniędzy, można mieć wciąż nowe stroje i wyglądać przy tym nieelegancko. A z drugiej strony — bardzo często skromnie ubrana kobieta, nie mogąca wydawać za wiele na swoje suknie, okrycia, jest szykowna, nobliwie ubrana. W czem leży tajemnica tego? Na pewno między innymi w tym, że ma umiejętnie dobrane akcesoria stroju, te niby nic nieznaczące „drobiazgi".

Zacznijmy od... nóżek! I w dziedzinie pończoszek moda stała się obecnie dziwnie praktyczna i dziwnie zgodna z nakazami higieny i medycyny. Zamiast ażurowych, pajęczo cieniutkich pończoszek na zimę, wywołujących brzydkie odmrożenia nóg, lansuje cienkie, ale wełniane pończoszki. Często są one przerabiane z jedwabiem, w paseczki dyskretne (a ładnie wysmuklające nogę!) lub w krateczkę.

„Deszczówki" modne są nie zapinane na guziki, ale na dwa paseczki. Wykończone są przy podeszwie białą wypustką.

Obok nóg — niemniej ważne są ręce. W dziale rękawiczek zapanowała moda różnokolorowości. Kolory są nie z prawdziwego zdarzenia, jak na rękawiczki: mienią się całą gamą barw tęczowych. Czerwone, żółte, błękitne, zielone, złote, pomarańczowe, srebrne obok fiołkowych, brązowych, białych i czarnych. I w dodatku są niejednolite w barwie — często spód rękawiczki jest w innym kolorze, niż wierzch. Mamy też rękawiczki z dwóch gatunków skór. Wierzchy z połyskliwego węża, a spody ze skóry giemzowej lub cielęcej w tym samym kolorze. Mankiety nie bardzo wysokie, najczęściej przybrane aplikacją z innej skóry, lub skórą błyszczącą na zamszu i vice versa. Ogromnie modne są rękawiczki w kolorowe małe punkciki. Czarne rękawiczki w białe punkciki, czarne w złote, białe w czarne i granatowe kropeczki itd. Oprócz tego modnym przybraniem rękawiczek jest sutasz. Wyszycie z sutaszu biegnie przez całą rękawiczkę, od palców, aż do mankietów, rozgałęziając je na nim w szeroki ornament. Sutasz w kolorze złotym, żółtym, czerwonym i zielonym pięknie wygląda przy czarnych zamszowych rękawiczkach. Przybranie z sutaszu może znaleźć szerokie zastosowanie przy rękawiczkach dziennych, w których wystarczy tylko przeciągnąć sutasze przez dziurki.

O tym, że torba, rękawiczki, pasek i buciki muszą harmonizować ze sobą, nie potrzeba się chyba rozpisywać.

Istotnym „krzykiem mody" są mufki, stanowiące przedłużenie plastronu palta albo wyłogu palta. Czasem są ukryte w baskince albo zawieszone po bokach płaszcza, jak futrzane rękawice, które dzieci noszą na sznurkach. Ani to ładne, ani praktyczne...

Wszelkie inowacje nie zastąpią ciepłej futrzanej mufki, średnich rozmiarów, beczułkowatej albo w fasonie t. zw. myśliwskim czyli płaskim.

Z drobiazgów — modne są dalej wełniane chustki, cieniutkie, układające się pięknie. Szale bardzo barwne, z wełny w wysokim gatunku. Na szaliki zawsze ładnym i niezawodnym jest także aksamit. Jeżeli pani nosi do granatowej spódniczki zimowego sportowego kostiumu żakiet w biało — granatową kratę — niech dobierze do niego również aksamitne granatowe guzy, szalik i granatowy aksamitny, o jak najprostszym fasonie, kapelusik z dyskrtnym piórkiem.

DOBRA GOSPODYNI

Gęś i kaczka pieczona. Gęsi i kaczki trzeba bardzo starannie oczyścić i przypalać nad płomieniem, a po oczyszczeniu wytrzeć je solą wewnątrz i zewnątrz i nadziać jabłkami pokrajanymi w plasterki i wymieszanymi z utartym majerankiem. Tak nadzianą gęś lub kaczkę zaszyć i piec w piecu na brytwannie, polewając ją ciągle własnym tłuszczem. Zamiast jabłkami można też nadziać gęś ziemniakami, które należy pokrajać w plasterki i sparzyć przedtem — albo farszem z wątróbki, którą trzeba posiekać, wymieszać z tartą bułką, masłem, majerankiem, solą i pieprzem. Bardzo smaczna jest także gęś bez nadziania, podana z kapustą. Następnie ją wyjąć, pokrajać, a sos przefasować i polać kaczkę na półmisku.

Gęsie wątróbki. Zasmażyć smalcu gęsiego z cebulą i jabłkiem, pokrajanem w plasterki, włożyć do niego wątróbkę gęsią, wypiec w gorącym piecu, polewając często masłem. Powinny się piec nie dłużej, jak 30—35 minut. Podać do nich kompot, borówki lub sałatę.

Młoda kaczka nadziewana. Usiekać drobno 1/4 kg słoniny, wątróbkę kaczą i 1 cebulę, wymieszać z solą, pieprzem, szczyptą tartej gałki muszkatułowej i łyżką tartej bułki — nadziać kaczkę, zaszyć i upiec, nie wysuszając jej zbytnio. Oddzielnie przygotować następujący sos: Na maśle pozostałym po upieczeniu kaczki zasmażyć pół cebuli drobno usiekanej i łyżkę mąki, wlać kieliszek czerwonego wina, dodać drobno pokrajaną wątróbkę kaczą, zagotować, dodać szczyptę papryki, przefasować sos przez sito i podać do kaczki osobno w sosjerce.

Kaczka duszona z marmeladą z jabłek. Nasoloną kaczkę pokrajać na kawałki i dusić w rondlu z masłem, cebulą i drobno poszatkowanymi jarzynkami. Osobno ugotować kilka obranych i pokrajanych jabłek, przefasować je i zasmażyć z cukrem. Rumianą zaprażkę z pół łyżki mąki i masła rozprowadzić smakiem z jabłek i przefasowanym sosem od kaczki i polać nim ułożoną na półmisku kaczkę, którą należy jeszcze obłożyć wkoło marmeladą.

Kaczka w potrawce z zapiekanym ryżem. Ugotować kaczkę z włoszczyzną i korzeniami, gdy miękka, pokrajać ją zręcznie, a na rosole z niej ugotować ćwierć kg ryżu sparzonego wpierw ukropem. Gdy ryż miękki, włożyć kaczkę na półmisek, nakryć ryżem, posypać tartą bułeczką i parmezanem, na wierzch włożyć kawałek masła i wstawić do pieca, by się ryż zrumienił.

Kaczka w potrawce z pomidorami. Zasmażyć na maśle dwie cebule pokrajane w plastry, włożyć kaczkę i obrumienić, wkroić 4—6 pomidorów, wlać kieliszek białego wina, trochę wody, dodać soli, pieprzu i dusić w sosie kaczkę, aż będzie miękka. Następnie ją wyjąć, pokrajać, a sos przefasować i polać kaczkę na półmisku.

Świat i życie

W czasie niepokojów w Palestynie

W czasie przymusowego domowego aresztu, na który skazany została ludność Jerozolimy od godz. 7 wieczór do godz. 5 rano, — radio było jedynym łącznikiem ze światem. Także tylko przez radio można było zapoznać się z rozporządzeniami, nadawanymi przez władze miejscowe kilka razy dziennie, gdyż pisma codzienne wychodziły bardzo nieregularnie.

Wskutek tego zapotrzebowanie na odbiorniki radiowe nagle silnie wzrosło, jak również wzrosła i ilość abonentów. I tak: w r. 1932 było 80 abonentów, przy końcu r. 1933 — 2500, a w lipcu 1936 r. — 17 tysięcy.

Sklepom z radiosprzętem w Jerozolimie stale brakowało odbiorników, które importowane są z innych krajów, m. in. i z Austrii.

Sztuczne żywice zmiękczają wodę

Do usunięcia z wody surowej wapna, magnezji itp. używa się od szeregu lat t. zw. permutyków. Są to naturalne albo sztuczne krzemiany, które przy zetknięciu się z oczyszczoną wodą wymieniają swój sód na wapień, magnezję itp. i wywołują przez to zmiękczenie wody surowej. Taką zdolność do wymiany skonstatowano u pewnych sztucznych żywic, w których skład wchodzą fenole i garbniki. Obecnie stwierdzono również, że niektóre żywice posiadają zdolność usuwania z wody kwaśnych cząstek soli — anionów. Dzięki temu stało się możliwe zmniejszenie w miejskiej wodzie wodociągowej przez następujące po sobie działanie na nią dwoma różnymi żywicami sztucznymi, i o ilości wszystkich rozpuszczonych stałych części składowych z 0,33 na 0,01 proc. Przez powtórzenie dwu lub trzykrotnie tego procesu udało się nawet usunąć z wody morskiej przeważną część zawartej w niej soli. Wyczerpane żywice sztuczne mogą być regenerowane podczas działania na nich kwasem lub pewnymi solami, jak np. solą kuchenną. Do porównania z permutytami służą następujące cyfry: 100 części sztucznej żywicy Quebracho może usunąć 0,8 części wapna, tyleż części sztucznej żywicy Gambir — 1,3 części wapna, a sztucznej żywicy, zawierającej wyciąg z kory modrzewiowej — 0,8 części wapna; dla 100 części naturalnego permutytu wynoszą ilości usuniętego wapna — 0,4 — 0,8 części, sztucznego zaś permutytu — 2 części.

Przygoda w dżungli

Czy małpy porywają ludzi? Kwestia ta była nierejednokrotnie przedmiotem sporów uczonych, zwłaszcza geografów i zoologów, poświęcających swą pracę badaniu ustosunkowania się małp do ludzi. Kilku podróżników wyraziło opinię, jakoby zachodziły wypadki porywania ludzi przez duże małpy, zwłaszcza

goryle i orangutany. Ofiarami tych dziwacznych fantazyj małp były przeważnie kobiety. Twierdzenia te opierają się jednak przeważnie na opowiadaniach krajowców.

Że jednak małpa, powodowana niezrozumiałym kaprysem, czy też miłością dla człowieka, zdolna jest do porwania go, świadczy o tym przeżycie pewnego kierownika jednej z największych holenderskich firm eksportowych na Sumatrze, który z racji swojego zawodu odbywa często podróże po kraju. Podczas ostatniego pobytu w Wiedniu opowiadał ów wiedeńczyk o dziwnym zdarzeniu.

Pan Emil Kern udał się w podróż inspekcyjną po plantacjach na Sumatrze, należących do firmy eksportowej, której jest kierownikiem. Nagle wybiegli na przeciw nadjeżdżającym, robotnicy, pracujący na roli i z przerażeniem opowiedzieli, że czterech ich towarzyszy udało się tego dnia do sąsiedniej wioski po żywność a wróciło tylko trzech. Czwartego, młodego robotnika, imieniem Togo, porwał olbrzymi orangutan, który przez dłuższy czas towarzyszył im w drodze, przeskakując z gałęzi na gałąź. Porwanie nieszczęśliwego Toga odbyło się tak błyskawicznie, że jego towarzysze nie mogli nawet zorientować się w sytuacji, a tym mniej bronić.

Kern natychmiast zorganizował ekspedycję ratunkową, na której czele wyruszył o świcie. Przez dwa tygodnie krążyli członkowie ekspedycji po kraju, udając się do miejsc, o których wiedzieli, że gnieżdżą się tam orangutany, to znowu czatowali wzdłuż brzegów rzek i strumieni na małpy, idące do wodopoju. Wszystko daremnie. Po porwanym Togo nie znaleziono śladu. Uważano go już za nie żyjącego, ku wielkiemu żalowi towarzyszy, którzy cenili i lubili pracowitego, inteligentnego chłopca.

Ekspedycja zamierzała już powrócić bez rezultatu, gdy nagle nadbiegł jeden z towarzyszy Kerna, krajowiec, który na własną rękę rozpoczął poszukiwania. Zawiadomił, że znalazł Toga. Chłopiec żyje, lecz wygląda rozpaczliwie i należy jak najprędzej wyruszyć mu na pomoc.

Uradowana ekspedycja udała się natychmiast we wskazanym kierunku. Po kilku godzinach drogi dotarli poszukujący do polany wśród dżungli, lecz ukryli się za drzewami, poszukując wzrokiem orangutana i jego ofiary. Istotnie w odległości około kilkunastu kroków ujrzeli członkowie ekspedycji siedzącego orangutana, karmiącego bananami nieszczęsnego Toga z macierzyńską czułością. Znając naturę małp, nie próbowali nawet wyratować nieszczęsnego jeńca podstępem lub „pertraktacjami" z orangutanem, lecz zgładzili go kilkoma celnymi strzałami. Dopiero wówczas można było bezpiecznie podejść do Toga, który nawpół żywy i bliski obłędu siedział na gałęzi. Był tak osłabiony, że nie można było wydobyć z niego ani słowa.

Dopiero po kilku dniach, gdy zdrowie jego poprawiło się, opowiedział Togo o swojej przygodzie. Orangutan porwał go i niósł jedną ręką, skarżąc pozostałymi kończynami poprzez konary drzew, aż przybył na swoje drzewo. „Czuły" chwyt orangutana był tak silny, że biedny Togo miał złamane trzy żebra. Poza tym przypadkowym okaleczeniem nie zrobił mu orangutan żadnej krzywdy. Przynosił mu owoce i korzenie i złościł się wyraźnie, gdy Togo nie chciał jeść. Codziennie zanosił go do wodopoju, zmuszając do picia wody z rzeki. Przed innymi małpami bronił go, szczerząc groźnie kły i krzycząc głośno.

Co wpływa na długość życia ludzkiego

Na długość życia ludzkiego wpływa przede wszystkim dziedziczność i sposób życia. Ludzie pracowici żyją dłużej, niż próżnujący; szczupli — zwłaszcza w młodszych latach — dłużej niż otyli; urodzeni w średnim wieku rodziców, dłużej, niż urodzeni w latach późnych. Najważniejszym warunkiem długiego życia jest umiarkowanie w jedzeniu i piciu i życie higieniczne.

Z ludzi, pracujących fizycznie, najdłużej żyją, ogrodnicy, po tym rolnicy, górnicy w kopalniach żelaza, maszyniści kolejowi, tragarze, księgarze, cieśle, piekarze, młynarze, kowale, kupcy, krawcy, murarze, szewcy, rytownicy, drukarze, rzeźnicy, malarze, fryzjerzy, dorożkarze, kamieniarze, woźnice, pokrywacze dachów, szynkarze i kelnerzy.

Widzimy z powyższego, że pewne zajęcia zapewniają długie życie, inne podkopują zdrowie i skracają życie. Jedzący i pijący dużo, szynkarze i kelnerzy, żyją ze wszystkich ludzi pracujących najkrócej, natomiast najdłużej żyją rolnicy i ogrodnicy, pracujący ciężko na roli i odżywiający się skromnie, a przede wszystkim strawą roślinną.

Pomnik bohaterskiego murzyna w Ameryce

W Rio de Janeria postawiono pomnik murzynowi nazwiskiem Simon, który przed 80-ciu laty uratował od niechybnej śmierci 90 osób.

W 1854 roku między Rio de Janeiro i Rio Grande de Sul uległ katastrofie statek „Pernambucana". Na pokładzie statku znajdowało się 120 osób. Byli to emigranci, dzieci, awanturnicy i poszukiwacze złota.

Wszelkie próby przyjścia z pomocą tonącemu statkowi udaremniała szalejąca burza i żaden z mieszkańców wybrzeża nie odważył się wypłynąć. — Wówczas nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo, rzucił się w fale Murzyn Simon i za pomocą przeciągniętej od tonącego statku i przymocowanej do brzegu grubej liny uratował 90 osób.

Simon nosił każdą osobę oddzielnie na brzeg. Gdy uraował w ten sposób 77 osób lina pękła. Z narażeniem życia Murzyn poraz wtóry rzucił się do wzburzonego morza i szczęśliwie nawiązał połączenie z brzegiem, przenosząc dalszych 13 osób. Simon był w końcu tak wyczerpany, że wszystkie jego mięśnie drżały konwulsyjnie i zataczał się z osłabienia.

Tadeusz Multański.

Po chleb i... śmierć

(NOWELA)

A więc Maciej Brzoza zdecydował się pojechać do Belgii na sezonową pracę.

Trudno będzie Maciejowi Brzozie rozstać się z Ojczyzną, z żoną i dziećmi. Cóż jednak robić? Być, może, że później, gdy zaoszczędzi trochę pieniędzy i uda mu się tam otrzymać pracę na stałe, ściągnie ich do Belgii.

— Muszę mieć jak najlepsze nadzieje — myśli. — Wezmę się do pracy. Napisali mi, że mam jechać, ano, pojadę...

— A ino się trzymaj, a nie pij — mówi nieśmiało żona, trzymając na rękach najmłodsze dziecko. Na pamięć tego — dziecka — trzymaj się, Maciek!...

— Skądbym miał pić? Na robotę jadę!...

Pociąg za chwilę nadejdzie. Trzeba będzie pożegnać się z rodziną. Oj, trudno to będzie! Żona ma łzy w oczach — nie płacze, aby nie dać przykładu dzieciom, które posmutniały, jakby rozumiejąc to, co za chwilę ma stać się rzeczywistością. Nawet to najmłodsze — zda się — pojmuje wszystko. I gdy ojciec całuje je w czoło, wyciąga rączki i — płacząc woła:

— Tata!... Tata!... Hala chce z tobą!!!...

Hala chce z tobą... Maciej chwycił walizkę i poszedł. Jeszcze się rozpłacze i co tamci powiedzą? Przecie jest Polakiem, tym, który słynie z hartu i silnej woli... Jemu nie wolno płakać.

— Właściwie — zastanawia się, — czemu ze mną nie poszli na peron?

— Oszczędzać trzeba! — słyszy w głębi duszy.

Może tam, w Belgii, nie będzie musiał oszczędzać. Może będzie miał dużo pieniędzy?...

Oczy mu błyszczą. W gardle zasycha, i tak gwałtownie, tak uparcie cisną się pod powieki łzy. Przecie on Polskę opuszcza. Teraz dopiero uświadamia sobie wszystko.

— I rodzinę!...

Tak, i rodzinę...

Jedzie to lepsze jutro, jedzie po złote runo. A, czy je znajdzie?...

Pociąg rusza — — —

Tam, przy parkanie żona i dzieci. Powiewają chustkami. Żona płacze... Mała Hala wyciąga rączki i krzyczy:

— Tata!... Tata!... — — —

Chociaż już dwie godziny jedzie pociągiem, nie może zapomnieć tego. Wciąż widzi mała Haneczka i słyszy ten przejmujący, proszący krzyk... Oni tam zostali... Mają trochę pieniędzy, przez miesiąc za nie wyżyją, a potem... Potem im Brzoza pośle. I kupią Hali nowy fartuszek i trzewiczki, a Jankowi tę książkę, o której od tak dawna marzy.

— Takie to życie! — wzdycha.

Nagle przypomina sobie, że za pół godziny minie granicę i... pożegna Ojczyznę.

Podchodzi do okna.

— Popatrzę nieco — tłumaczy się przed samym sobą.

I oczy wchłaniają widoki łąk i lasów polskich wiosek. Widzą daleko na szosie wozy, takie same jak w poznańskim... Taki sam wóz miał Drzymała — na takim samym jeździł Brzoza, gdy jeszcze był gospodarzem.

I patrząc na to wszystko, przypomina sobie Wrześnię. Mieszkał niedaleko. Posyłano go do szkół... Nie kazali modlić się po polsku, kazali mówić: „Gelobt sei, Jezus..." Jego rodzice byli pierwszymi z tych, którzy zaprotestowali... Za to ojciec dostał się do więzienia. Był bity, katowany... Umarł...

Szedł Brzoza z matką za trumną, a Prusaki krzyczeli:

— Precz z Polakami!...

Smutne to wspomnienia. Ale on nie jedzie przecież do Niemców. Tam mu nie zabronią mówić po polsku i czuć po polsku...

Nie zabronią!...

* * *

Nie przyjęli Macieja Brzozy do pracy. A przecie pisali, że ma przyjechać. To prawda, ale w międzyczasie zgłosili się inni. Wszystkie miejsca zajęte. Co teraz pocznie Maciej Brzoza!? Przyjechał tu do Belgii po pracę... Co zrobi!...

Straszna rozpacz i czarne myśli... Strzelić sobie w łeb! Ale przecie żona... dzieci... Może znajdzie inne zajęcie?

Włóczy się, pyta, ale bez skutku. Nogi już odmawiają mu posłuszeństwa...

Usiadł na ławce. Patrzy przed siebie i myśli...

O czym myśli?... O Matce — Polsce... O tych prześladowaniach pruskich — o rodzinie... I wzbiera się żałość, za nią idzie rozpacz i... bunt... Bunt... Inni żyją beztrosko, mają tysiące... a on... A on, co?... Co on znaczy?...

* * *

Pisma polskie doniosły pewnego dnia:

„Niedawno do Belgii wyjechał między innymi robotnik Maciej Brzoza. Nie otrzymał jednak pracy... Umarł z rozpaczy, zostawiając żonę i pięcioro dzieci...

* * *

Tak, kochane dzieci — mówiła Brzozowa — nie macie już teraz ojca. Pojechał po pracę, a znalazł śmierć...

— Mamo, ja pomszczę śmierć taty, jak będę „duży" — mówi mały Karolek.

— Pomścisz śmierć taty — powtarza bezwiednie. — Pomościsz, ale na kim?... Ale, czy będziesz duży? Czy nie umrzesz z głodu? Czy matka zapracuje na chleb dla was wszystkich? myśli, zapominając o sobie.

Koniec.



Wdowa po zmarłym komisarzu oświaty Z. S. R. R. Łunaczarskim została aresztowana za przyjaźń z żoną aresztowanego ambasadora w Londynie.

Nie wiedząc co począć, udał się w stronę kopalń. Po drodze zobaczył Alpińczyka, wygrzewającego się na słońcu, a obok niego leżącą łopatę i sito.

— Czy pożyczyłbyś mi na godzinę swoje narzędzia? — zapytał go Leon — ja bym ci za to zapłacił!

— Ile pan da Luen - Singowi za wypożyczenie łopaty i sita? — odezwał się wygodny Chińczyk — nie zmieniając nawet swej pozycji i patrząc przebiegle na Leona.

— Ile byś żądał? — zapytał znów Waldau.

— 20 dolarów! — odparł Luen Sing spokojnie.

— 20 dolarów za godzinę? — zawołał Leon przestraszony. — Przecież za te pieniądze mógłbym sobie kupić setki łopat i sit!

— To niech sobie pan kupi! — odpowiedział Chińczyk oschle.

Leon spostrzegł z przykrością, że sobie przebiegły Chińczyk z niego drwił, i odszedł, aby się gdzieindziej za narzędziami obejrzeć. Ale wkrótce zobaczył, że to był stracony czas, że nikt nie miał zbędnych łopat, a te które posiadali, w nieustannym były użytku.

Wrócił więc do Chińczyka, leżącego jeszcze na tym samym miejscu i rzekł mu:

— Tu masz 20 dolarów, a daj łopatę i sito.

— O, nie panie — odpowiedział ten zawsze jeszcze leżąc — teraz nie dam niżej 30 dolarów, za to, żeś się tak długo namyślał!

Leon się rozłościł, ale wyjął portmonetkę i rzucił chciwemu Chińczykowi żądaną sumę.

— Ale za to wezmę je na cały dzień — rzekł mu rozkazująco.

— Beze mnie — zaśmiał się Luen-Sing — i tak nic nie wykopiesz!

Zebrawszy rzucone mu na ziemię dolary, rozciągnął się znów wygodnie.

Tymczasem Leon pospieszył do kopalń. Wyszukał sobie tu miejsce, które się jego niedoświadczonemu oku wydawało jak najkorzystniejsze i zabrał się do pracy, naśladując przy tym innych.

Rozkopawszy ziemię, poodsuwał na bok duże kamienie, a pozbierawszy żwir z ziemią zmieszany przesiał go przez sito. Pozostał jednak tylko sam piasek i drobne kamyczki. Nie było między nimi ani jednej grudeczki złota.

Pracował tak godzinami nieprzerwanie. Pot gorący ściekał mu z czoła, ręce się krwawiły, członki go bolały, ale on nie zniechęcał się. Tak był spragniony złota, że o wszystkim innym zapomniał.

Wtem usłyszał tuż za sobą cichy śmiech. Rozłoszczony odwrócił się i zobaczył Luen-Singa, który stał przed nim z założonymi rękoma i patrzył na niego szyderczo.

— Czy pan już wiele wykopał? — zapytał.

— Przeklęty człowieku! — krzyknął Leon — jeszcze się ze mną będziesz droczył?

Podniósł ciężką łopatę i chciał nią bezczelnego Chińczyka uderzyć, ale ten tak zręcznie mu się wywinął, że łopata obiła się o twardą skałę.

— Panie — rzekł znów Luen-Sing zmienionym, uprzejmym tonem, oddalając się od Leona — niech pan nie bije Luen-Singa, bo Luen - Sing panu dobrze życzy. Tu, na tym miejscu mógłby pan sto lat kopać i niczego by się pan nie dokopał. Luen-Sing poprowadzi pana na takie miejsce, gdzie jest dużo złota. Musi pan jednak przedtem przyrzec, że się pan z Luen-Singem na równe połowy podzieli!

Leon zrozumiał z trudnością tę mieszaninę chińskiego, angielskiego i francuskiego języka. Nie miał też wiele zaufania do przebiegłego Chińczyka. Pomyślał jednak, że nic nie ryzykuje przy spółce z nim, bo kopiąc tu dalej, mógłby zupełnie niczego nie znaleźć. Postanowił więc przyjąć pomoc i radę Lueng-Singa.

Zgodziwszy się na jego żądanie, szedł za nim, niosąc w ręku ciężkie narzędzia, o które towarzysz jego zupełnie się nie zatroszczył.

Po pewnym czasie stanął Lueng - Sing dla zorientowania się i zaczął oglądać korę drzew, w których były ponacinane znaki. Wreszcie rzekł zadowolony:

— Tu panie! Niech pan zejdzie po kostki do wody i kopie.

— A ty? — zapytał Leon, patrząc ostro na Chińczyka.

— Panie — odpowiedział mu syn słońca — masz przecież moją łopatę, czyż chcesz, abym rękami kopał? Lueng-Sing będzie stał niedaleko i wskaże ci, panie, które są najlepsze miejsca.

— Jeśli naprawdę tak dobrze znasz złotodajne miejsca, to dlaczego sam lepiej nie kopiesz, zamiast dzielić zysk z innymi? zapytał Leon.

— Lueng-Sing nie ma siły w rękach — odparł Chińczyk ze smutną miną — jego ręce są słabe, a nogi się trzęsą. Twoje ramiona zaś, panie, są silne jak dąb! Kop tylko panie, a zobaczysz, ile złota wydostaniesz!

Ten argument przemówił widocznie Leonowi do przekonania, bo Chińczyk wyglądał rzeczywiście bardzo nędznie i nikło.

Przestał więc na niego spoglądać z takim uprzedzeniem i zdjąwszy obuwie i zakasawszy wysoko spodnie, wszedł po kostki w wodę.

Chińczyk stanął na kamieniu, który sterczał z żółtawej wody.

— Tam, panie — wskazywał śmiesznymi ruchami i kręcąc głową, tak, że cienki jego warkocz uderzał po plecach — tam, odrzucić ten duży kawał skały, na bok panie, a znajdziesz pod nią czyste, dobre złoto!

Leon usłuchał i zbliżywszy się do wskazanego miejsca, zabrał się wszystkimi siłami do poruszenia tej skały. Wreszcie opuścił ręce, znużony tym wysiłkiem. Nie mógł temu podołać! Próbował jeszcze raz drugi i trzeci, a le napróżno.

Zdenerwowany i zniechęcony, popatrzył Leon na Luen - Singa, który przeskakiwał nerwowo z jednej nogi na drugą.

— Pobiegnij Luen-Sing — rozkazał Chińczykowi i przynieś mi jeden z tych dużych pniów drzewnych, które leżą powalone na ziemi. Może za pomocą takiego pnia uda mi się odwalić ten ogromny kamień.

Chińczyk pobiegł rączo i przywlókł po krótkim czasie silny pień drzewny, przyczem się okropnie zasapał.

Leon obciął szybko koronę i gałęzie i starał się podsunąć to drzewo w gliniastą ziemię, pod bok skalisty.

Kosztowało go to niemało trudu, ale ostatecznie udało mu się. Podminował skałę potem jeszcze silniej, trącił i kolosalna bryła usunęła się w wodę, która bryzgnęła tak, że dosięgła stojącego u brzegu Chińczyka.

— Wygraliśmy panie, wygraliśmy — krzyknął Luen-Sing skacząc z radości — teraz tylko nabieraj łopatą i rzucaj na sito!

— Musisz mi teraz pomóc — rzekł Leon — bo ja mam tylko jedną parę rąk! Chodźże do wody kochanku i trzymaj mi sito, podczas gdy ja będę kopał!

Lueng-Sing skrzywił się mocno na tę propozycję, ale uznał jej konieczność, zakasawszy swe żółte nankinowe spodnie, z pod których okazały się okropne, wychudłe, brązowe nożyska, wszedł trwożnie do wody. Z sitem w ręku stanął on obok Leona i z naprężeniem patrzył na jego pracę.

Na widok pomyślnego skutku rozjaśniła się żółta twarz Chińczyka.



Król Karol rumuński rozdaje autografy podcz as uroczystego bankietu na zamku w Bukareszcie



Egzotyczny balet hinduski Menaka produkuje się obecnie w Europie.

Leon wrzucał do sita łopatę po łopacie pełnej ziemi, Luen-Sing zaś przesiewał ją i spłukiwał pozostające grudy w nadziei zobaczenia złota. Dotychczas jednak wszystko było żwirem.

Zniechęcony Leon zaczął znów przypuszczać, że Chińczyk go oszukał albo, że się sam omylił i chciał odejść z tego miejsca. Lecz chińczyk złapał go za rękaw i zaklinał na wszystkie świętości, aby jeszcze trochę wytrwał.

Nie mogąc się opędzić natrętnemu Chińczykowi, złapał Leon raz jeszcze łopatę i wsadził ją głęboko w ziemię. Łopata natknęła na coś twardego, ale Leon wsadził ją tym razem głębiej i wyjął dużą, twardą, gliniastą bryłę.

— Złoto, złoto! — krzyknął Luen-Sing, a skośne jego oczy zabłysły chciwością — tu jest na pewno złoto!

To mówiąc opłukał glinę, z pod której okazała się rzeczywiście złota bryła wielkości męskiej pięści.

I w oczach Leona zabłysło.

Gorące życzenia jego zaczęły się spełniać, zaczynał dobiegać do celu! Przed sobą miał bogactwo i szczęście, miał tylko rękę po nie wyciągnąć!

Dostał zawrotu głowy i nie mógł akompaniować okrzykom radości Chińczyka. Był jednak także pełen namiętnej radości, ale równocześnie pochłaniała go gorączka zysku i jak najprędzej nagromadzenia skarbów.

Chciał dalej pracować nie bacząc na znużenie, ale słońce już zaszło i zaczęło się ściemniać.

— Już dość na dziś — rzekł Luen-Sing — mamy jeszcze wielki kawał drogi do domu!

Leon usłuchał jego rady.

W drodze dopiero uczuł zmęczenie. Pracował cały dzień bez wytchnienia, bez jadła i napoju.

Czuł osłabienie we wszystkich członkach, ale równocześnie napełniało go błogie uczucie pewności i zadowolenia. Był przecież tak bliskim celu!

Milcząc wracał Luen-Sing z Leonem. Chińczyk ukrył bryłę złota za pazuchą i macał co chwilę, czy jej nie zgubił. Pomrukiwał przy tym coś niezrozumiale w języku rodzinnym.

Leon zaś pogrążony był w marzeniach przyszłego szczęścia.

Gdy już byli blisko osady i usłyszeli ruch jej i gwar, spytał Leon Chińczyka, komu on myśli sprzedać tę bryłę.

— Chciałby pan to tutaj sprzedać? — zapytał Luen-Sing zdziwiony i niezadowolony. — Ten człowiek, co sprzedaje jadło i napoje chętnieby naszą bryłkę kupił, ale bardzo mało by nam za nią dał. Twoje sny rozwiałyby się panie! On by się oszukał, panie! Luen-Sing jednak dobrze ci życzy i chce twojego dobra! Luen-Sing tak ci radzi, panie:

Nakopmy jeszcze tyle złota, aby każdy z nas miał dość, a później podzielmy się i niech każdy z nas pójdzie swoją drogą. Jak później sami sprzedamy nasz łup w mieście, to dostaniemy sto razy więcej niż tutaj!

Rada wydawała się Leonowi niezła, ale nie ufał on Chińczykowi o tyle, aby zostawić złoto pod jego opieką.

— Dobrze — rzekł Leon do Luen-Singa — daj mi więc bryłę, schowam ją przez noc!

— O, panie! — jęczał Chińczyk — nie odbieraj Luen-Singowi jego największej radości! Luen-Sing lubi czuć twarde złoto na swoim sercu i pieścić się jego blaskiem! Zostaw mi je panie, ono jest w dobrych rękach!

— Nie — odpowiedział Leon stanowczo — albo dasz mi je natychmiast, lub sprzedamy je niezwłocznie i podzielimy się zyskiem!

Luen-Sing zaczął jęczeć, szlochać, błagać, ale gdy spostrzegł, że wspólnik jego zostaje niewzruszony, wyciągnął bryłę ze schowku i wręczył ją Leonowi z bolesnym grymasem.

Odtąd jednak pilnował on Waldaua bacznie i nie spuszczał go z oka. Szedł za nim jak cień i pytał go się co pięć minut:

— O, panie, czy nie zgubiłeś złota?

Leon udał się najpierw do hotelu, w którego pobliżu przywiązał swego konia, poruczając go opiece gospodarza. Oglądał on się jednak daremnie za swym dobrym zwierzęciem, znikło ono bez śladu.

Gdy się zapytał gospodarza, gdzie wierzchowiec jego się podział, odpowiedział mu Fransuz gburowato, że miał coś ważniejszego do załatwienia niż pilnowanie konia jakiegoś tam przybłędy.

Leon opanował się z trudnością o tyle, aby nie zbić bezczelnego gbura, bo obawiał się, że będzie miał wszystkich przeciwko sobie.

Wyszedł raz jeszcze, aby poszukać za koniem, ale wkrótce zobaczył, że to daremny trud, że mu skradziono konia, a wraz z nim torbę uwieszoną u siodła, w której miał swoją broń, prowiant i wiele innych niezbędnych rzeczy.

Było to dla niego dotkliwą stratą, ale pocieszył się myślą, że za pieniądze dostanie tu znów wszystko, czego mu potrzeba.

Zjadłszy skromną kolację, która jednak pochłonęła prawie całą jego gotówkę, ułożył się do snu pod najbliższym drzewem.

Luen-Sing nie odchodził od niego przez cały ten czas ani na chwilę, a gdy Leon wśród nocy raz się zbudził, zobaczył przy blasku małego ogniska, że Chińczyk siedział tuż przy nim i wpatrywał się w niego bezustannie.

— Czemu nie śpisz? — zapytał Leon pół zdziwiony, pół rozśmieszony.

Chińczyk mruknął coś niezrozumiałego pod nosem i rozciągnął się również koło ogniska, ale po kilku minutach znów wstał i rozpoczął na nowo swoją straż.

Widocznie nie miał wielkiego zaufania do swego wspólnika, sądząc go według siebie. Ledwo pierwsza jutrzenka okazała się na niebie, obudził Luen-Sing swego towarzysza ze słodkiego snu.

— Wstawaj panie — rzekł — już najwyższy czas, może nas ktoś jeszcze uprzedzić w miejscu, gdzieśmy robotę naszą zaczęli!

Leon zerwał się zaspany i ocucił się dopiero zimną, rzeczną wodą.

Potem wyszli obaj, tak nierówni sobie wspólnicy, dążąc do tego samego miejsca, które im wczoraj tyle szczęścia przyniosło.

Zaczęła się praca, równa wczorajszej. Leon podważał duże bloki skaliste i kopał głębokie jamy obok łożyska rzeki, aby sprowadzić do nich wody Molekumny, a uczynić jeszcze więcej płytką i łatwiej na grunt się dostać.

Potem zaczął przekopywać łożysko. Luen - Sing przypatrywał się tylko tej pracy i co najwyżej przesiał wykopaną ziemię, a pozostałe grudy przepłukał wodą.

Ale gdy Leon wzywał pomocy do odwalenia dużego bloku, to Chińczyk wymawiał się płaczącym głosem, wskazując na wychudłe swoje członki.

Plan pracy był tego dnia dużo mniejszy, niż wczorajszy. Znaleźli tylko kilka ziarn złota, których wartość wystarczała ledwo na skromny posiłek, a Leon powiedział sobie tego wieczoru, że całodzienna jego ciężka praca poszła właściwie na marne.

Mimo to jednak pospieszył nazajutrz raniutko znów na to samo miejsce i pracował przez cały tydzień ze zmiennym szczęściem. Czasami znajdował tylko drobne ziarnka, innym razem znów wykopywał grudki wielkości śliwki i nawet duże bryły.

Każdą większą sztukę witał Chińczyk dzikimi okrzykami radości i dzikszymi jeszcze skokami.

Byłby najchętniej wszystko złoto trzymał przy sobie, tylko, że teraz z powodu wielkiej ilości uzbieranego skarbu i wielkiego ciężaru było wprost niemożliwe.

Mieli teraz na to dużą skórzaną torbę, którą dniem brali ze sobą i chowali starannie u brzegu, a która w nocy leżała pod głową Leona.

Chińczyk nie czuwał już teraz więcej całymi nocami, ale nie pozbył się całkiem swej podejrzliwości. Kładł się więc tak, aby i jego głowa dotykała worka ze złotem.

Sąsiedztwo to nie było Leonowi bardzo przyjemne, ale nie mógł się temu sprzeciwiać.

Skoro Leon tylko się we śnie ruszył, zrywał się Chińczyk przestraszony i spędzał już resztę nocy czuwając, mimo że się przekonał o tym, iż wspólnik jego nie uciekł ze skarbem.

Wreszcie nadeszło kilka dni, w których Leon pracował zupełnie bez skutku. Nie znalazł ani jednego ziarenka. Rzekł więc do Chińczyka:

— Zdaje mi się, żeśmy to miejsce już zupełnie wyeksploatowali, podzielmy się tym złotem i możemy się rozejść.

— Panie, czy masz już dość? — zapytał ten zdziwiony — bo ja znam jeszcze jedno miejsce, w którym jest dużo złota. Chodźmy tam jutro i pracujmy, dopóki nie będziemy mieli dziesięć razy tyle, co teraz mamy. Wtedy się podzielimy i każ z nas wróci do swej ojczyzny, gdzie nam hołdy składać będą za nasze bogactwa!

Leon uznał, że Chińczyk ma rację. Gdyby na tym poprzestał co miał teraz, zostałoby mu po spłaceniu długu u hrabiego Raucha i po kosztownej podróży zaledwo 40.000 reńskich, co na Wiedeń nie było wcale dużo.



Dwie niezrównane łyżwiarki Emma Puzinger i Hanna Kiernberger, które spotkały się niedawno w berlińskim pałacu sportu zimowego — czarują widzów tańcami figurowymi na lodzie.

Postanowił więc wytrwać tu na spółkę z Chińczykiem, dopóki skarbu swego znacznie nie zwiększy.

Lueng-Sing był tym bardzo uradowany. Zasiedli jak zwykle do wspólnej wieczerzy, bo Chińczyk nie opuszczał teraz Leona ani na chwilę. Ten ostatni zaś nosił zawsze worek przy sobie.

Popijając czerwone wino, zauważył Waldau, że miało ono jakiś dziwny przysmak i było gorzkawe. Kładł to jednak na karb swego zmęczenia, które się z każdą minutą wzmagało. Członki jego stawały się ołowiano ciężkie, a powieki zapadły.

Położył się koło ogniska i zasnął twardym snem.

Gdy się obudził, słońce stało już u zenitu. Było południe. Zerwał się zdziwiony, że go towarzysz tym razem nie zbudził o zwykłej godzinie i obejrzał się dokoła. Luen-Singa jednak nie było.

Teraz dopiero spostrzegł Leon, że pod głową miał kamienie, zamiast torby ze złotem i zrozumiał sytuację.

Przebiegły i niepoczciwy wspólnik skorzystał z jego snu, aby uciec ze złotem, nad którego wydobyciem Leon tak się napracował.

Domieszał widocznie do wina jakiś środek usypiający, bo inaczej nie mógł sobie Leon swej niezwykłej senności wytłumaczyć. Skłamał też, że zna drugie takie złotodajne miejsce, aby zapobiec podziałowi, któryby zniweczył jego zbrodniczy plan.

Leon był w rozpaczy.

Chiał udać się w pogoń za Chińczykiem, ale zreflektował się, że to już trochę za późno, że ten się już musiał o kilka mil stąd oddalić.

Cała jego kilkutygodniowa praca poszła na to, aby wzbogacić jakiegoś oszusta! Cały jego trud poszedł na marne! Tyle straconego czasu! Dwa całe miesiące spędził tu harując bez wytchnienia, a jaki był rezultat?

Był teraz biedniejszym, niż przedtem. Stracił tu konia, broń, amunicję i wydał wszystkie pieniądze, które u Raucha pożyczył!

Całe złoto, które tu wydobył z ziemi, skradł mu przebiegły Chińczyk. Był teraz tak biedny, jak mysz kościelna.

Załamywał ręce w niemej rozpaczy. — Stracił wszelką nadzieję i przestał wierzyć w swą dobrą gwiazdę. Zadawał sobie ciągle pytania:

Co się ze mną stanie?

— Umrę z głodu na obczyźnie — odpowiadał sobie — a Hortensja nigdy się nie dowie, jak nędznie skończyłem!

Tak rozpaczał nieszczęśliwy nad swoim obecnym położeniem, a i czytelnik pewnie zapyta zaniepokojony:

— Co się z Leonem stanie?

ROZDZIAŁ CCXXV

Zbrodnicze plany

Opuściliśmy panią Schnorr i białe jej niewolnice w chwili, w której ona w brutalny sposób groziła Emie, że ją przemocą zmusi do posłuszeństwa.

Ilona zachowała się z początku biernie, potem zaś porozumiawszy się z panią Schnorr wzrokiem, rzekła do niej głośno:

— Nie odważ się podnieść ręki na tę ładną, młodą dziewczynę, bo będziesz miała ze mną do czynienia, stara papugo! Nie dam jej krzywdzić!

Ema spojrzała zdziwiona na Cygankę. Nie spodziewała się z tej strony obrony, raczej przeciwnie.

Ale Ilona schyliwszy się nad Emą szepnęła jej:

— Czy nie uważasz, że to stare straszydło chce się nas pozbyć? Podejrzewam ją, że chodzi tu o jakąś znajomość męską, bo jest ona dość głupia na to, aby się jeszcze w takiej rzeczy bawić. Oczekując swego faceta, chce się nas wszystkich pozbyć, bo jest zazdrosna jak turek i obawia się, że która z nas mogłaby się facetowi lepiej od niej samej podobać. Nie sprzeciwiaj się więc i idź ze Schanklem Pipą, aby ta śmieszna kobieta miała wolne pole do działania.

Ostatnie te słowa wymawiała z gryzącą ironią, patrząc szyderczo na starą i brzydką panią Schnorr.

— Ale czy to prawda — spytała Ema niedowierzająco.

— Dlaczego by nie miała być prawda? — rzekła Ilona swobodnie. — Czego bym miała kłamać? Znam się z Schnorrową dopiero od niedawna i nie zjem z nią beczki soli, to jest pewne. Myślę tylko, że będzie rozsądniej z twojej strony, jak jej dobrowojnie ustąpisz, nim ona ci zęby wybije, albo w jaki inny sposób swą złość na tobie wyleje i piękność twą zeszpeci.

— No to niech i tak będzie — odpowiedziała Ema i zaczęła się prędko zbierać.

Schankel Pipa czekał z trwożną niecierpliwością na swój towar, bo jeśli go Matylda zaskarżyła na policji, to wszystko od tego zależało, aby urzędnicy, którzy na zbadanie sprawy przyjdą, nie zastali tu dziewcząt i nie mieli sposobności przesłuchania ich.

— Jeśli zaś dziewcząt nie będzie — myślał dalej — to pani Schnorr już sobie z tymi panami z policji da radę i potrafi się zręcznie wykłamać.

Jako pokrywkę przed światem, miała ona niby „biuro stręczeń“, jak tu już duży szyld na dole oznajmiał. Dla większego jeszcze zamydlenia oczu stręczyła rzeczywiście od czasu do czasu i udało jej się już nieraz wynaleźć dziewczętom bardzo dobre miejsca w porządnych domach. Miała to wszystko zapisane w księgach i musiało ją to w oczach policji usprawiedliwić.

Prowadziła jeszcze inne księgi o biednych dziewczętach, które haniebnie sprzedawała, ale z tą księgą była bardzo ostrożna. Napis tejże był „bielizna“.

Kto w ogóle mógł coś złego podejrzewać, czytając w księdze tej naprzykład:

15 października 4 lniane prześcieradła z haftem. Komu bowiem by na myśl przyszło, że to tylko pokrywka zbrodniczego jej zawodu? W ten sposób wszystko inne było zapisane. Adamaszkowy obrus z monogramem znaczyło: najlepszy towar. — Ręczniki kuchenne było techniczne wyrażenie na gorszą sortę tego żywego towaru.

Prócz pani Schnorr i Pipy nikt inny nie wiedział, co się pod tymi niewinnymi zapiskami i nazwami kryje. Pipa zaś nie mógł jej zdradzić, bo tym samem i siebie by wydał.

Był on przebiegły i wiedział, że sobie i teraz z dziewczętami da radę, skoro je już tylko będzie miał w powozie, i potrafi im tak oczy zamydlić, aby podejrzenia ich nie wzbudzić.

Podczas gdy Pipa rozmyślał, Ilona pomagała dziewczętom przy ubieraniu.

Zależało jej bardzo na tym, aby policja tym razem przynajmniej nie wykryła wstrętnego rzemiosła pani Schnorr. Gdyby ją bowiem teraz zaaresztowano, (a byłoby kilka lat ciężkiego więzienia za takie przestępstwo), to Ilona straciłaby w niej zręczną i powolną pomocnicę. Był to więc tylko czysty egoizm z jej strony, że stanęła teraz w obronie pani Schnorr. Uczyniła to zaś z taką przebiegłością, że osiągnęła zamierzony skutek i w 10 minut później wyszedł Pipa z dziewczętami.



Shirley Temple gra małą Holenderkę w nowym amerykańskim filmie dziecięcym.

— A teraz trzeba jak najprędzej wytransportować pakunki na dworzec — zawołała pani Schnorr — bo po pierwsze nie śmie policja zastać tu ani jednej niteczki zdradzającej, że tu dziewczęta być mogły, a po drugie, muszą te rzeczy być na kolei równocześnie z Pipą, bo on musi z tą zgrają niezwłocznie wyjechać!

— Dawajcie tu te łachy — rzekła Ilona — ja je za chwilę spakuję.

— Nie ma tego tak dużo — zaśmiała się stara wiedźma — każda z dziewcząt ma tam kilka łaszków, trochę bielizny i basta!

Mówiąc to, podała Ilona duży kosz podróżny, w który cyganka powrzucała niebale, ale prędko wszystkie podane rzeczy, należące do biednych ofiar.

Gdy skończyła, pani Schnorr zamknęła kosz na kłódkę.

— Co teraz z tym fantem zrobić? — zapytała Ilona.

— Pomóż mi zanieść go do stróża? — odpowiedziała pani Schnorr. — Potem możesz sobie wyjść na kilka godzin, bo nie chcę, aby cię szpicle u mnie zastali.

— Wstydzisz się może Cyganki! — oburzyła się Ilona.

— Nie chcę być niegrzeczną i sprzeciwić się — zaśmiała się stara — ale to i dla ciebie korzystniej, jak się z tobą nie poznają; w każdym razie bezpieczniej!

— Zgoda! — rzekła Cyganka — i tak nie mam teraz co tu szukać, bo naszej sprawy teraz i tak nie załatwimy. Najlepiej więc będzie, jak pójdę swoją drogą.

W duchu zaś pomyślała: Ta stara czarownica mi nie ufa. Odpłacę jej się równą monetą i nie zwierzę się ze wszystkiego. Ona nie potrzebuje wcale wiedzieć, że baron Sturmfeder także jest w tę sprawę zawikłany!

Ilona oburzona była na panią Schnorr, ale była zanadto mądra, aby złość swoją okazać. Przeciwnie, ukryła ją za przyjemnym uśmiechem i pomogła nawet znieść kosz na dół do stróża.

Potem pożegnała się z nią i wyszła na ulicę, udając, że idzie gdziekolwiek. Cyganka wiedziała dobrze, że baron Sturmfeder mieszkał w pałacu hrabiów Dornbruch, nie miała jednak pojęcia, w której dzielnicy i przy której ulicy pałac ten się znajduje.

Pani Schnorr nie chciała się o to pytać, aby się nie zdradzić i nie dać jej powodu do rozmaitych wniosków i przypuszczeń.

— W tej biednej dzielnicy w każdym razie nie! — pomyślała i miała rację.

Postanowiła rozejrzeć się po eleganckich dzielnicach i tam dopiero zapytać się kogoś o położenie i bliższy adres pałacu.

Szła prędko naprzód, lecz po krótkim czasie uczuła okropny głód i przypomniała sobie dopiero, że nie jadła jeszcze śniadania.

— A przecież zapłaciłam tej szachrajce Schnorrowej za to! — pomyślała ze złością.

Była tak wygłodzona, że wprost nie miała sił na dalszą drogę. Zatrzymała się więc przed jakąś małą podrzędną restauracją, lecz nim do niej weszła, przeliczyła jeszcze resztę swoich pieniędzy.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

PRZESUWANKA

pod. N. N.

s	w	,	a	h	n
r	z	u	y	ł	j
m	r	w	y	i	ż
t	d	o	i	c	h
a	o	b	e	c	z
w	c	r	a	z	a
a	y	e	n	k	k
a	p	i	u	c	e
w	b	ń	a	a	h

Wyciąć 6 kolum pionowych i, nie zmieniając kolejności tych kolumn, przesuwać je pionowo, póki litery czytane poziomo nie dadzą wiersza Adama Asnyka.

SZARADA

uł. W. B. Gniezno.

Raz — wtóra! nie lękajcie się jej,
szaradziści mi i, ani wy wszyscy
więcej zajęci lub mniej,
bo dwa w sobie ona urok,
co trzy wszystko ktoś wynosi.
Pięć - siaj wtór - my jeszcze jesień,
ale ona od nas tuż... tuż... od - czwór pięci,
a ta pierwsza druga, co trzy aż do końca
też dwa czas swój naznaczony.
gdy on minie, przyjdzie wiosna.
Raz druga była i jeszcze bis niejedna będzie,
ale my nad rozważać nie będziem,
bo nam szaradę rozwiązać wypada,
czas tak szybko u - czwór - pięć jak woda.
Żegnaj jesieni... bo cała!

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, dnia 1 grudnia br.

Rozwiązania zadań z nr. 46 „Moich Powieści“

Konikówka: „Wisło moja, Wisło stara,
co tak smutnie płyniesz,
Skąd tej wody nazbierałaś,
Mów nim w morzu zginiesz!

Szarada: Granat.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Kozłowska Maria — Katowice, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Hodzierski Jan — Grudziądz, Dębski Zygmunt — Poznań, Kowalas J. — Bydgoszcz, Lenart Tadeusz — Rokowice, Masłowska Henryka — Katowice, Kiełpiński L. — Bydgoszcz, Kujawa Teodor — Janów, Dłużewska Władysława — Godziszewo, Lipski M. — Brodnica.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Masłowskiej z Katowic i Kujawie z Janowa.

ADAM CZEKALSKI

9)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

Nie będzie wyroku, bo nie może go być, ale wspomnienie oskarżenia pozostanie i ono odbierałoby mi wszelką radość życia i wszelką radość z sukcesów w mojej pracy. Nie, Jurku, ja już do wojska wrócić nie mogę.

Ostatnie słowa Stadnicki wypowiedział z naciskiem, poczem znowu legł na łóżku i leżał tak długo spokojnie, w milczeniu, tylko szybkość oddechu świadczyła, jak bardzo jest poruszony tym wszystkim.

— Nabijasz sobie głowę zgoła niepotrzebnymi subtelnościami — zagaił znowu kapitan. — Czyż ty pierwszy będziesz pod zarzutem oskarżenia? Nie zrobiłeś nic złego, nie jesteś niczemu winien, dlatego i oskarżenie nie może ci przynieść ujmy.

— Nie, nie, nie staraj się mnie przekonywać — zaprzeczył porucznik. — Zrobię tak, jak powinienem, jak mi honor nakazuje.

Kapitan zaprzestał tłumaczeń. Znał Stadnickiego dobrze i wiedział, że jest to człowiek uparty i stanowczy, który nie da się sprowadzić z raz obranej drogi nikomu, nawet, gdyby ten ktoś miał rację. Pożegnał go przeto i oddalił się. A porucznik leżał długo i rozmyślał o wielu sprawach i usiłował koniecznie przypomnieć sobie to wszystko, co działo się z nim od chwili wizyty u Borowicza aż do ostatniego momentu, gdy przyszedł nieco do siebie i rozejrzał się po pokoju szpitalnym. Przyszła mu na myśl Lila i doznał jakby ukłucia pod serce na myśl o tym, że wyrządził jej przykrość, nie przyszedłszy na obiad, jak go o to proszono. Bo, że na tym obiedzie nie był — przypomniał sobie to teraz dobrze. To znowu rozmyślał o oskarżeniu, które zawisło nad nim. O co jest oskarżony? Jakie zarzuty stawia mu prokurator wojskowy? Dlaczego?

Na te pytania odpowiedział mu dopiero sędzia śledczy, kapitan Święcicki, który przybył do niego w parę dni później, aby go przesłuchać.

— Jest pan oskarżony o wykradzenie planów inżyniera Kosibowicza — oznajmił kapitan. — Co ma pan do powiedzenia w tej materii?

— Ja — jestem oskarżony — o wykradzenie planów inżyniera Kosibowicza? — zawołał bezgranicznie zdumiony Stadnicki. — Panie kapitanie, to przecież jest nieprawda, to nie może być prawda!

— Bardzo możliwe, panie poruczniku, bardzo możliwe — odrzekł na to spokojnie kapitan — ja przecież nie twierdzę, że tak było, tylko, że o to oskarża pana prokurator. Pan był w nocy w biurach szefostwa, siedział pan sam w swoim gabinecie, w którym znajduje się kasa ogniotrwała z planami, a gdzie znajdowały się i rysunki inż. Kosibowicza. W dniu pańskiej wizyty śp. pułkownik Grodecki...

— Jak to, świętej pamięci?...

— Więc pan nie wie, że pułkownik po wykryciu przez siebie braku planów inż. Kosibowicza, popełnił samobójstwo?



O szarej godzinie płyną tony — melodii serdecznej, natchnionej, drżą akordem...

— Popełnił samobójstwo? Panie kapitanie!... — Stadnicki upadł bezwładnie na pościel i dyszał ciężko, przejęty, poruszony ogromnie wiadomością, jaką zakomunikował mu kapitan.

— Może wezwać lekarza? — ofiarował się kapitan.

— Nie, nie trzeba... nie trzeba... Pułkownik — popełnił samobójstwo... Boże! I to w związku ze mną, z moim oskarżeniem? Nie mógł przeżyć samej chwili, że może być postawiony w stan oskarżenia, że będzie musiał pozostawać pod tak ciężkimi zarzutami.

Stadnicki usiadł gwałtownie na łóżku.

— Pułkownik Bogu ducha jest winien! — zawołał. — Jest tak samo niewinny, jak i ja. Tu w tej sprawie zachodzą jakieś potworne, piekielne tajemnice, których nie znam ani ja, ani nikt drugi.

— A jednak te tajemnice będziemy musieli rozwikłać — podchwycił kapitan. — Proszę, powiedz mi pan, panie poruczniku, wszystko, cokolwiek jest ci wiadomym. Mam przekonanie, że panu tak samo zależy na wyjaśnieniu tej sprawy, jak mnie i wszystkim, komu dobro państwa leży na sercu.

— Proszę — pytaj pan.

— Nie, nie, nie chcę pana pytać. Wolę wysłuchać opowiadania pana w takiej formie, w jakiej uzna pan za potrzebne się wysławiać. To jest lepsze dla śledztwa. Przez pytania badany mimo woli zapomina o pewnych szczegółach, które mogą mieć bardzo ważne znaczenie dla sprawy, a na które badający nie zawsze może zwrócić uwagę. Więc słucham.

Stadnicki myślał czas pewien, poczem zaczął opowiadać kapitanowi wszelkie szczegóły swojej wyprawy do Łodzi aż do wizyty u Borowicza, ale gdy doszedł do momentu, kiedy miał jeszcze resztki świadomości, urwał opowiadanie i zakończył:

— Od tej chwili nic nie pamiętam, co działo się ze mną. Pamiętam dopiero ten moment, gdy znalazłem się w pokoju służbowym kapitana Olśnickiego. Później podobno zemdlałem i bezwładnego odwieziono mnie do szpitala, gdzie oprzytomniałem przed paru dniami. To wszystko, co wiem i co mogę panu powiedzieć, kapitanie.

— Szczegóły naprawdę ciekawe i zastanawiające — zauważył kapitan. — Ale proszę mi łaskawie wyjaśnić jeszcze jedną sprawę: jak pan przypuszcza, co mogło się panu stać? Może pan pił co u tego Borowicza? Może zatruto pana, albo też zachorowałeś z jakichś innych przyczyn nagle?

— Trudno mi naprawdę odpowiedzieć na to pytanie. Przypominam sobie tylko, że byłem jak gdyby skrępowany, jak gdyby ktoś drugi, obcy i wrogi mi, kierował mną, moją wolą, moimi czynami. Było to tak dziwne uczucie, że wyraźnie nie mogłem sobie nigdy zdać sprawy, co to naprawdę było. Jak pan sam widzi, jestem dobrze zbudowany, organizm mam silny, jak zresztą wszyscy Stadniccy, dlatego to o nagłym zachorzeniu nie mogło być mowy. Nigdy dotąd w ogóle nie chorowałek. Początkowo przypuszczałem, rozmyślając nad tym wszystkim, że zostałem zatruty, czy też odurzony papierosem, którym poczęstował mnie Borowicz, później jednak odrzuciłem to przypuszczenie. Borowicz palił przecież te same papierosy, tak sam się zaciągał, a jednak nic mu się nie stało... Sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

— Ciekawe, naprawdę ciekawe. Musimy bliżej zainteresować się owym panem Borowiczem. Czy pan wie co o nim?

— Bardzo niewiele. Przyjechał do Polski przed rokiem i osiedlił się w Łodzi jako handlowy przedstawiciel jakichś firm bengalskich czy kalkuckich. Z pochodzenia jest Polakiem, mówi nawet dobrze po polsku, ale poza tym czuje się całkowicie Anglikiem i tak też ma napisane w papierach zapewne. Jest lekarzem z wykształcenia, ale zawodu swego nie uprawia, bo na karcie wizytowej, na drzwiach swego mieszkania, wyraźnie napisał: „pacjentów się nie przyjmuje". Prowadzi dość wystawny tryb życia, a poza tym... poza tym...

— Mów pan dalej, poruczniku, mów dalej. Wszelkie szczegóły mogą tu mieć wartość, dlatego, we własnym swoim interesie



Dowcip amerykański przejawia się w różnych formach. Jedną z nich jest ta oto sofa, wykonana z najwykwintniejszego materiału, a przeznaczona dla... kłócących się małżonków. Mianowicie, w razie zgody, małżonkowie mają siadać w środku sofy, zaś w razie kłótni na jej skrajach. Oto proste i wesołe rozwiązanie ciężkiej sprawy!

proszę niczego nie ukrywać, cokolwiek pan wie, lub czegokolwiek pan się domyśla.

— Tak... właśnie — mruknął jakby do siebie Stadnicki. — Nie wiem, czy to, co chcę panu powiedzieć, kapitanie, może mieć jakiekolwiek znaczenie dla sprawy, gdyż dotyczy to wyłącznie prywatnej mojej strony życia.

— Proszę, powiedz mi pan wszystko — nalegał kapitan. — Przypuszczam i niemal pewien jestem, iż na rozwiązaniu całej sprawy zależy panu w równej mierze co i mnie, dlatego — chociaż to może będzie wkroczeniem w sanctuarium pańskich spraw czysto osobistych — proszę o dalsze informacje nawet i w tej mierze.

— A więc proszę posłuchać, kapitanie: Mam narzeczoną w Łodzi, pannę Alicję Krupińską, córkę bardzo dzielnej kobiety, pochodzącej z rodziny ziemiańskiej, sąsiadującej z moimi rodzicami. Ojciec jej, pan Stanisław Krupiński, powołany został do wojska rosyjskiego jeszcze na wojnę japońską i odtąd wszelki słuch o nim zaginął. Otóż ten Borowicz, tajemniczy dżentelmen i niewyraźny człowiek, o ile wiem, przyjechał do Polski z Kalkuty i, jak mi wspominała narzeczona, poznał się z nią na jednym z „fajfów" w kawiarni George'a, później zaś zaczął prześladować ją swoją miłością, aż posunął się do tego, że jej się najformalniej oświadczył. Gdy otrzymał od panny Krupińskiej odprawę taką, na jaką zasługiwał, w jednej z rozmów swoich z Lilą wspomniał ojca jej, Stanisława Krupińskiego, z którym rzekomo miał się gdzieś tam spotkać, ale uchylił się od wszelkich bliższych objaśnień. I tu właśnie najbardziej uderza mnie zestawienie takich faktów: Borowicz, obcy zupełnie człowiek na gruncie Łodzi, zaczyna bardzo żywo interesować się nie kim innym, tylko panną Krupińską, z której ojcem miał jakby gdzieś tam przebywać razem. Wiem dobrze, że Krupiński był bardzo przywiązany do żony i córki, której notabene nie widział nigdy w swoim życiu, gdyż urodziła się ona po jego odjeździe na wojnę. Wiem, że żonę głęboko kochał i na pewno z własnej woli nigdy nie byłby zapomniał o niej, choćby znajdował się na krańcu świata nawet. Z tego możnaby wysunąć wniosek, że Borowicz udający miłość do panny Alicji, przyjechał do Polski z jakimś wyraźnie określonym celem. Boć przecież dlaczego nie osiedlił się na przykład w Warszawie, gdzie zazwyczaj mieszczą się wszystkie centrale handlowo - przemysłowe, ale w Łodzi, właśnie w Łodzi. Czy to pana nie uderza również, kapitanie?

— Istotnie, dedukcja znakomita — zgodził się kapitan. — To ciekawe, naprawdę ciekawe. Musimy zająć się i tą stroną medalu.

— I dalej — podjął znowu opowiadanie Stadnicki. — Narzeczona moja dwukrotnie maltretowana była w tak oryginalnych i niezwykłych warunkach, że dotąd, gdy o tym myślę, nie mogę wyjść już nie tylko z podziwu, w jaki sposób stać się to mogło, ale zawsze zdejmuje mnie trwoga. Pierwszy raz, powróciwszy z balu, Alicja doznała wrażenia, że ktoś zaczyna ją całować. Była sama jednak w swoim pokoju, więc wrażenie to było dla niej wprost niesamowicie okropne. W następnej chwili ktoś niewidzialny chwycił ją za gardło i usiłował dusić. Odciski palców na jej szyi w kilka chwil później widziała matka, służąca, a następnie posterunkowy policji ... to właśnie znowu zastanawiające — doktor Borowicz, który „przypadkowo" znalazł się na miejscu wypadku, usunął te ślady przy pomocy jakichś sztuczek diabelskich w ciągu paru minut, nawet nie dotknąwszy szyi panny Krupińskiej. Drugi wypadek zdarzył się w równy tydzień po pierwszym i wtedy to Alicja była biczowana. Również biczowanie to zostawiło wyraźne ślady po sobie, widziane przez matkę, dwie służące i starego doktora Mazurkiewicza, lekarza domowego Krupińskich. I te ślady, jak poprzednie, zniknęły prawie w oczach samo przez się.

— Wszystko to wprost niepodobne do wiary — wyraził pogląd kapitan. — Nie mniej dlatego właśnie, że to taka niesamowitość, że ten pan Borowicz zaczyna stawać się niebezpiecznym dla porządku publicznego i bezpieczeństwa państwa nawet, bowiem podejrzewam, że i w wypadku zniknięcia planów inż. Kosibowicza odegrał on wielką, jeśli nie główną, rolę — zajmiemy się nim.

Kapitan powstał.

— Dziękuję panu, poruczniku, za zeznanie i do widzenia w innych warunkach.

— Dziękuję za objaśnienie mi wielu spraw, które dotąd stanowiły dla mnie wciąż tajemnicę — odrzekł Stadnicki. — Teraz wiem przynajmniej, o co jestem oskarżony, jakie stawia mi się zarzuty.

— Wierzmy, że wszystko będzie dobrze.

Kapitan wyszedł.

Od tego dnia minął tydzień i Stadnicki czuł się już na tyle silnym, że mógł wstawać z łóżka i odbywać przechadzki. Wiedział, że niewidzialne oczy czuwają nad nim, że jest dozorowany i ta właśnie świadomość najbardziej go gryzła. Nie widział straży, nie widział wartowników, ale wyczuł ich obecność niemal na każdym kroku, gdziekolwiek stanął. Niedługo jednak i ten cierń został usunięty, albowiem doręczono mu zawiadomienie z sądu, że sprawa została umorzona „z braku dowodów winy" i areszt został zdjęty.

— A więc nie uniewinniono mnie dlatego, że jestem niewinny — myślał porucznik z goryczą — ale tylko dlatego, że „brak dowodów winy". A więc rzucono na mnie najcięższe oskarżenie, bo oskarżenie o zdradę, o sprzedawczykowstwo, o szpiegostwo, które zdjęto tylko dlatego, bo „brak dowodów". Formalnie jestem wolny, jestem zrehabilitowany, ale coś tam zostało, jakiś cień powlecze się ze mną na całe życie sprawdzić jak jakiś niedostępny a przeklęty.

Mimo to Stadnicki doznał dużego odprężenia, przeczytawszy owo zawiadomienie. Dotąd stał pod pręgierzem, a oto teraz urwał się od niego i jest wolny, znowu niepokalany.

— Niepokalany — zaśmiał się w duchu z sarkazmem — o, nie! Już dzisiaj nie jestem niepokalany, bo jednak owo oskarżenie było, a człowiek niepokalany żyje poza wszelkimi oskarżeniami, jakiegokolwiek charakteru byłyby one.

Jakaś hardość, jakaś zawziętość rodziła się w nim. Jakaś mściwość podnosiła w nim głowę i domagała się odwetu.

— Wezmę go! — powtórzył sobie mocno w duchu. — Wezmę odwet na tym, kto tutaj jest najwinniejszym.

XI.

W MIESZKANIU O PÓŁNOCY

Komisarz Krajewski słynął w szerokiej opinii jako jeden z najdzielniejszych detektywów i kryminologów i nader liczne sukcesy jego w rozmaitych sprawach potwierdzały w zupełności taką opinię. Zainteresowały się tajemniczą sprawą niemniej tajemniczego mister Borowicza, postanowił zabrać się do niej z całą sumiennością i delikatnością. Zbadawszy to wszystko, co na razie było uchwytne, przywo-

łał jednego ze swych stałych pomocników, gdy chodziło o poważne afery i rzekł:

— Panie Kulka, mamy robotę, że palce lizać.

— Zrobimy, panie komisarzu — odrzekł z uśmiechem agent.

— Słuchaj pan: przyjechał do naszego miasta mister John W. Borowicz.

— Wiem. Mieszka przy ulicy Piotrkowskiej na pierwszym piętrze. Agent handlowy firm bengalskich czy kalkuckich, doktor medycyny. Ma służącego imieniem Dario, czarną małpę kolosalnej siły.

— Ten sam, mości Kulka. Ale słuchaj: ten pan zaczyna stawać się dość uciążliwym nie tylko dla pewnych osób, ale także i dla władz. Należy przeto zbadać dokładnie, po co on tu właściwie przybył, dlaczego zainteresował się specjalnie panną Krupińską, z kim się znosi w samej Łodzi i poza Łodzią, jakie ma źródła utrzymania i tak dalej i tak dalej. Pan rozumie o co mi chodzi?

— Tak jest, panie komisarzu.

— No, to dobrze.

— Właśnie uderzyło mnie to już parokrotnie, że ten pan bardzo często włóczy się po rozmaitych lokalach, ale nigdy nie pije alkoholu — poinformował Kulka — często szuka towarzystwa panny Krupińskiej, chociaż ta raz w moich oczach bardzo wyraźnie mu oświadczyła, aby nareszcie odczepił się od niej.

— Otóż to. Wprawdzie w tym wszystkim nie ma nic ciekawego, przynajmniej specjalnie ciekawego, ale nawet najdrobniejsze szczegóły dotyczące tego pana, notuj pan sobie dokładnie i będziesz mi je powtarzał stale w swoich raportach.

— Dobrze, panie komisarzu. Już ja go tam postaram się otoczyć taką pajęczą siecią, że nic, co jego będzie dotyczyć, nie może mi się wymknąć.

— No, to idź pan z Bogiem i nie omieszkaj zaglądać do mnie możliwie najczęściej, aby mnie we wszystkie szczegóły wtajemniczać.

— Rozkaz, panie komisarzu.

Agent wyszedł. Był to mężczyzna w wieku lat około czterdziestu, niskiego wzrostu i pozornie słabej konstrukcji cielesnej, ale na tym pozorze nie jeden już mocno przegrał w spotkaniu wręcz z panem Melchiorem Kulką, bowiem posiadał on wcale niewspółmierną do swojej postaci. Ponadto najbardziej może charakterystycznym rysem Kulki była elegancja, z jaką się nosił. Ubrany zawsze w najlepiej skrojone i najmodniejszych fasonów ubrania, pachnący, wiecznie wyświeżony, Kulka daleko odbiegał od prawzoru agenta śledczego w nieodłączonym i nieśmiertelnym „meloniku". Kulka wprost atawistycznie nie znosił właśnie melonika. Miękki kapelusz, zawsze dobrany do koloru ubrania lub jesionki, to była słabość i smak „Panicza", jak go koledzy żartobliwie nazywali.

Znalazłszy się na ulicy, Kulka przystanął i trącając laską w bruk ulicy, zastanawiał się przez chwilę od czego zacząć, gdy w pewnej chwili uderzył go ktoś lekko ręką w ramię, witając słowami:

— Jak się masz stary mastadoncie? Nad czymże tak deliberujesz, jakbyś świat cały na swych barkach nosił?

Kulka drgnął i szybko odwrócił się do intruza.



Natchniony koncert kościelny potrafi zatrząść słuchaczem i do łez wzruszyć.

— Ach, to ty stary koniu, dokądże bogi prowadzą? — odrzekł, podając rękę młodemu człowiekowi, którego twarz zdawała się być w nieustannym śmiechu.

— Właśnie ciebie szukałem.

— No, cóż tam znowu? Masz co nowego?

— A gdyby? — uśmiechnął się młody człowiek. — Ale nie stójmy tak na ulicy, lecz zapakujmy się gdzie do jakiej karczemki przydrożnej, gdzie moglibyśmy spokojnie pogwarzyć.

— Zgoda, chodźmy przed siebie, a po drodze zawadzimy przecież chyba o jakie karczmisko, gdzie i kącik siaki-taki się znajdzie. Ale — gdzieżeś to bywał tyle czasu, że nadobne moje oczy nie mogły zobaczyć twojej szanownej mordy?

— Odpoczywałem po karnawale, słoniu indyjski.

— Ach, odpoczywałeś? — uśmiechnął się Kulka. — Zdaje ci się, że na starość mózg mój tak już zjełczał, że ci uwierzy, co?

— To już twojemu dowcipowi zostawiam.

— Żart na stronę, drugie wcielenie Sherloka Holmes'a, gdzie byłeś tak długo? Czy wyjeżdżałeś z Łodzi?

— Podobno, konwalijko najmilsza, ale — odczep się wreszcie z pytaniami na ulicy, zaprawdę powiadam ci, albowiem cię kopnę.

Poszli w milczeniu dalej, od czasu do czasu tylko wymieniając urywane zdania o tym lub owym, nie zaczepiając głównego tematu. Tak doszli do Przejazdu i skręcili na lewo, poczem weszli do spotkanego po drodze baru.

— A, szanowanie panu komisarzowi — kłaniał się przesadnie kelner, witając Kulkę — szanowanie panu dyrektorowi, szanowanie... — zginał się przed młodym człowiekiem w posuwistych lansadach.

— Szanowanie, szanowanie panie Jakub — odrzekł tym samym stylem Kulka.

— Kopę lat, kopę lat kochany dyrektorze — witał ich dalej kordialnie gospodarz. — Jakże zdrówko kochanego dyrektora? Jakże się bawimy w karnawale? Bo to, panie dzieju, Łódź nasza tego roku szaleje, czterdzieści sześć zabaw sylwestrowych, toż to rekord, prawdziwy rekord.

— Zdrów jestem i bawię się znakomicie — odrzekł Kulka. — Obaj z panem Barłampem, tutaj obecnym i przytomnym — wskazał na przyjaciela — bawimy się jak dwa młode bogi na Olimpie podczas zaślubin Prozerpiny z nieśmiertelnym gromowładnym Zeusem, któremu oby bogowie udzielili najdłuższego życia.

— A, kochany pan dyrektor Barłamp coś na nas niełaskaw — kłaniał się gospodarz gościowi, zacierając ręce — coś bardzo niełaskaw od dłuższego czasu.

— Nic dziwnego, panie Świeczka, nic dziwnego — objaśnił Barłamp — żenię się i to jedyna przyczyna, że u pana nie bywam. Trzeba wyreperować żołądek po pańskich ciężkostrawnych potrawach, aby żona nie miała kramu.

— Ach, żartuje wielmożny pan.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



Niedziela, dnia 28 listopada 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Torunia 12.03 Poranek symfoniczny 13.10 „Gamajda" — opowiadanie z życia K. C. P'u 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Powieść mówiona 16.20 „Podwieczorek przy mikrofonie" 18.05 Recital fortepianowy Z. Drzewieckiego 18.30 „W hołdzie Stanisławowi Wyspiańskiemu" — transmisja z kościoła na Skałce 18.45 Teatr Wyobraźni: „Warszawianka" — Stanisława Wyspiańskiego 19.45 „Słynni wirtuozi" — IV audycja 21.15 Wesoła audycja ze Lwowa 22.00 „Opowieść o Mozarcie" — IV audycja „Figaro" i „Don Juan".

Poniedziałek, dnia 29 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 „Od warsztatu do warsztatu: W zakładzie fryzjerskim" 15.45 Z pieśnią po kraju" 16.15 koncert orkiestry wojskowej 17.00 „Ksiądz Grzegorz Mendel — znakomity biolog" — odczyt 17.15 Zapomniane pieśni w wykonaniu M. Saleckiego 18.10 Melodie z polskich filmów (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Krakowska i góralska kapela ludowa — transmisja z Londynu 20.00 „Wigilia św. Andrzeja" — obrazek obyczajowy 21.00 Muzyka taneczna 2.55 „Sylwetki kompozytorów polskich".

Wtorek, dnia 30 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 15.45 „Przy kominku" — audycja dla dzieci 16.15 Kwartet Schrammla z Krakowa 17.15 Koncert solistów 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Słuchowisko „Wróżba" 19.30 Recital śpiewaczy Maurycego Janowskiego 20.00 Melodie i tańce tatarskie w wyk. oryginalnych zespołów tatarskich 21.00 Raz za mało... — koncert 22.00 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 1 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Pieśni Roberta Schumanna (płyty) 15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka 16.15 Wojskowa orkiestra reprezentacyjna 17.00 Na morzach dalekiego Wschodu — odczyt 17.15 Polska współczesna muzyka kameralna 17.50 Co podlega zajęciu przez komornika — pogadanka 18.10 Orkiestra salonowa „The bohemiens" (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.20 Pieśni mazurskie 19.35 Karola Libelta — O odważnej miłości ojczyzny — odczyt 20.00 Kompozytorzy w roli dyrygentów — koncert z płyt 21.00 Koncert chopinowski 21.45 „Piękno mowy polskiej — kwadrans poezji 22.00 Koncert popularny w wykonaniu orkiestry wileńskiej.

Czwartek, dnia 2 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Tańce i pieśni śląskie — poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 11.40 Utwory Pablo Sarasatego (płyty) 15.45 Wędrówki muzyczne — audycja dla młodzieży 16.15 Koncert rozrywkowy 17.00 Twórczość Artura Grottgera — odczyt 17.15 Arie i pieśni w wyk. Stani Zawadzkiej 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Słuchowisko „Ten człowiek" 20.00 Wieczór Adama Wrońskiego 21.45 „Dzisiejszy spirytualizm poetycki" — szkic literacki 22.00 Koncert Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki — transmisja z warszawskiego konserwatorium.

Piątek, dnia 3 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra Stanisław Niedzielski (płyty) 15.45 „Wielki święty i mali ludzie" — pogawędka Makuszyńskiego dla dzieci 16.15 Orkiestra rozrywkowa z Łodzi 17.15 Koncert solistów 18.10 Wiązanki wokalne (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Fragment słuchowiskowy z dramatu W. Bąka „Tyberiusz" 19.35 Duety — Domra i gitara (z Wilna) 20.00 Wielki koncert symfoniczny w wykonaniu połączonych orkiestr Polskiego Radia i Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 4 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Wiązanki instrumentalne (płyty) 15.45 Słuchowisko p. tyt. „Przygody Mikera Zapałki" 16.15 Koncert solistów 17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie 18.15 Szwedzkie pieśni ludowe (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 Polska kapela ludowa 21.00 „Życie nie jest romansem" — parodia powieści dla dorastających panienek 21.15 Muzyka taneczna.



ZŁOTA MYŚL

Jeżeli chcesz dowiedzieć się co złego o kobiecie, pochwal ją przed inną kobietą.

WSKAŹNIK SZYBKOŚCI

— Dlaczego nie ma w pańskim samochodzie szybkomierza?

— Bo i po co? Kiedy jadę z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę, dzwonią szyby. Kiedy robię trzydzieści kilometrów, drżą latarnie. Przy czterdziestu kilometrach wibrują błotniki, a gdy rozwinę szybkość pięćdziesięciu km, cały samochód drży jak w febrze.

POSEŁ I WYBORCY

Pan poseł, po powrocie z Warszawy do rodzinnego Grajdołka, spotkał się oko w oko z kilku wyborcami. Przywitany ozięble, pan poseł dowiaduje się, że wyborcy czują doń urazę.

— O co?

— Pan się jeszcze nas pyta, panie pośle. Przecie przez cały rok ani razu nie zabrał pan głosu.

— Jakto, ani razu — woła oburzony poseł. Sięga do kieszeni, wyciąga gazetę i pokazuje:

— Patrzcie, o tu... „pomruk niezadowolenia w centrum..." Tym posłem, który mruczał, to właśnie ja byłem!

ŚPIEW PTASZĄT

Służąca zwraca się do pana domu z prośbą o zwolnienie na wieczór.

— Chciałabym pójść w aleje, posłuchać ptaszków...

— Dobrze, dobrze, tylko niech Marysia nie bierze dla tych ptaszków cygar z mojego biurka, jak poprzednim razem.

SŁUSZNA UWAGA

— Dziwna rzecz — mawiał pewien doświadczony człowiek — nigdy ci nie zabiorą ostatniego papierosa, ale ostatnią złotówkę wezmą bez skrupułów.

DRAŻLIWA MISJA

W mieście szkockim Aberdeen zdarzyła się katastrofa. Z wysokiego domu spadł gzyms i zabił na miejscu Johna Murphy.

Trzeba uprzedzić o nieszczęściu wdowę, ale jak to zrobić? Jeden z obywateli podejmuje się tej drażliwej misji.

— Czy mam przyjemność z panią Murphy?

— Tak jest. Czym mogę służyć?

— Czy mąż pani był ubezpieczony od wypadków?

— Owszem, był.

— No, to świetnie się składa. Proszę zabrać polisę i jazda do kasy.

SZKOCKA ZABAWA

W Szkocji na letnisku, liczna rodzina zajęła pierwsze piętro drewnianego domu. Od czasu do czasu odbywały się tam tańce.

— Czy to pana nie męczy? — zagadnięto lokatora z parteru.

— O, bynajmniej. Gdy zabardzo hałasują, zamykam radio i jest spokój.

PRÓBA W OPERZE

Reżyser jest zirytowany. Chórzyści lekce sobie ważą zajęcie.

— Panie Frąckiewicz, dlaczego pan wczoraj nie przyszedłeś na próbę?

— Oddałem buty do podzelowania.

— A pan, panie Wierciołek?

— Ja mu właśnie te buty zelowałem.

WYMÓWKA

Pastor: — Panie Thompson, czemu to pańska żona łaziła z kąta w kąt po kościele podczas mego kazania?

Thompson: — Proszę jej wybaczyć, ona jest lunatyczka, musiała zasnąć.

DIAGNOZA LEKARSKA

Świeżo upieczony medyk został lekarzem pogotowia ratunkowego. Młodego kolegę wtajemnicza w obowiązki zawodowe starszy lekarz, długoletni pracownik tej instytucji. Nagle rozlega się dzwonek na alarm.

— Panie kolego — mówi starszy lekarz — mamy zderzenie samochodów. Jedź pan w imię Boże.

Debiutant wsiadł do karetki i pojechał. Po upływie pół godziny wraca.

— Jakże tam było? — pyta mentor.

— Dwie taksówki strzaskane. Jedna ofiara, młoda blondynka... Zastałem ją nieprzytomną. Nie dawała znaku życia...

— Trzeba było zrobić próbę z lusterkiem.

— Właśnie, właśnie, kochany doktorze. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy podsunąłem jej lusterko, od razu otworzyła oczy i wyszeptała słabym głosem: „Gdzie moja pomadka?"

BEZ ODPOWIEDZI

— Papo, podczas lekcji gimnastyki jeden z moich kolegów powiedział, że jestem do ciebie kropka w kropkę podobny.

— I cóż mu na odrzekłeś?

— Nic, bo jest mocniejszy ode mnie.



— Jak ten czas biegnie! W przyszłym miesiącu skończę dwadzieścia dwa lata.

— A ja osiemnaście!

— Ależ, moja droga, nie reklamuj się tak bardzo. Przecież skończysz dwadzieścia pięć lat! Wszak jesteś ode mnie tylko o rok młodsza!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe, Żnin, nr. 1.